

4806

Kazimierz Król.

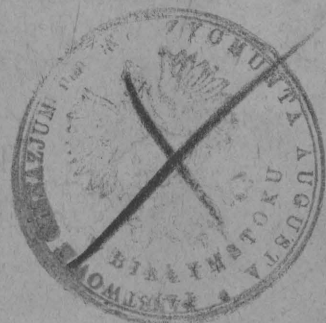
KORONACYA
LUDWIKA

405
3

Państwowe Gimnazjum
im. kr. ZYGMUNTA AUGUSTA
w Białymstoku.

Biblioteka Gimnazjalna

Nr 258
Dział 107. / 655.



1308

Państwowe Gimnazjum
im. kr. ZYGMUNTA AUGUSTA
w Białymstoku.

BIBLIOTEKA GIMNAZJALNA

1283

12 inwent. 3140 405 1308

1283

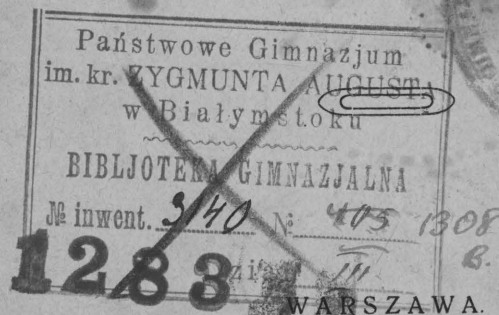
1283

KORONACYA LUDWIKA *Lm.*

Z poezyi średniowiecznej francuskiej

opracował

KAZIMIERZ KRÓL



WARSZAWA.
NAKŁAD REDAKCYI „PRZYJACIELA DZIECI”
1909.

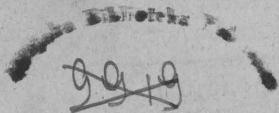




821.162.1-93

III
— 1/1

IV
453
840-3/1.6



840-3

76

SŁOWO WSTĘPNE.

Poezja średniowieczna francuska obfituje w pieśni epiczne, osnute na podaniach, związanych z różnymi głośnemi wydarzeniami historycznymi i osobami, szczególnie zaś ze sławnym Karolem Wielkim (†814 r.). Z początku tworzą się niewielkie pieśni, z czasem — mniej więcej od połowy wieku XI — powstają z nich większe poematy. Najwięcej ich powstało w wieku XII. Jednym z wcześniejszych jest słynna „Pieśń o Rolandzie“, którą przed kilku laty opracowaliśmy dla czytelników „Przyjaciela“ i wydali w postaci oddzielnej książeczki. Dajemy obecnie opracowanie innego z takich poematów, czyli „pieśni historycznych“ (po francusku nazywanych *chansons de geste*). Nie są

to rzeczy historyczne w ścisłym znaczeniu tego słowa, to jest zawierają one treść niezupełnie zgodną z prawdą dziejową: często naprzykład mają tylko ogólne tło historyczne, a same fakty lub naczelne i podrzędne postacie są zmyślane. Im są późniejsze, tem żywiol historyczny bardziej się w nich zaciera; ale nawet i w tym razie dają nam one pojęcie o charakterze ludzi z tej epoki, kiedy powstały, bo zawsze w podaniach i poetycznych ich opracowaniach wyrażają się pojęcia i uczucia tych, co je tworzą i przekazują następnym pokoleniem.

Większa część owych „chansons de geste“ należy do tego okresu wieków średnich, który nazywamy okresem wojen krzyżowych. W czasie tym rozwinęły się wysoko i silnie dwa ważne pierwiastki życia średniowiecznego: uczucie religijne w związku z potęgą kościoła katolickiego i ustrój feudalny w państwach zachodnio-europejskich. W utworach poezji francuskiej z tych czasów odbijają się wyraźnie oba te pierwiastki wraz ze zmianami, jakim ulegały stopniowo z postępem czasu. To samo widzimy i w opowiedzianej niżej treści „Koronacy Ludwika“.

Pieśń ta powstała w pierwszych trzech dziesiąt-

kach wieku XII. Należy do cyklu, czyli zbioru pieśni, związanych z osobą Karola Wielkiego i niejakiego Wilhelma Orańskiego (z Oranii, po francusku: Orange). Wilhelm jest osobą historyczną: był księciem Akwitanii (w południowo-zachodniej Francji) za czasów Karola W., zajmował ważny posterunek na pograniczu hiszpańskim i walczył pomyślnie z sąsiednimi Maurami z Hiszpanii. Pieśni zrobiły z niego postać wybitniejszą i ważniejszą, niż był może w rzeczywistości, bo powstały one w czasie, kiedy duch religijny coraz bardziej wzrastał, a znaczenie rycerstwa doszło do szczytu. Natomiast postać Karola W., im później, tem bardziej maleje, bo przeniesiono na niego różne rysy z późniejszych monarchów mniej potężnych w okresie rozkwitu feudalizmu.

W jakim celu dajemy Wam tutaj i mamy zamiar w dalszym ciągu dawać opracowania takich utworów?

W tym samym celu, dla którego daliśmy Wam przedtem szereg utworów staroniemieckich i skandynawskich.

Możecie z nich poznać ducha ludzi z wieków średnich, ich pojęcia, uczucia i sposób życia. W ory-

ginałe trudno czytywać te rzeczy, przekładów wier-
szowanych na język polski nie mamy, a przecież wspo-
mina się o tych utworach w historii literatury po-
wszechniej, bo wspominać trzeba. Dobrze więc znać
je choć w tej postaci, w jakiej Wam dajemy, bo sta-
ramy się o to, by nasz przekład nie był daleki od
oryginału.

K. K.

1. Koronacya w Akwizgranie.

Kiedy w Akwizgranie wystawiono kościół, zbu-
dowano i poświęcono klasztor, urządzono też siedzibę
monarszą, jakiej już nigdy nie zobaczycie. Czterna-
stu hrabiów czuwało nad pałacem; nieszczęśliwi przy-
chodzili tam szukać sprawiedliwości, nikt się nie mógł
poskarżyć, że jej nie znalazł. Żli ludzie przez chci-
wość używali wszelkich wykrętów, ale Bóg jest mą-
dry: dostali się do cuchnącej otchłani piekielnej, z któ-
rej już nie wyjdą.

Owego dnia było tam osiemnastu arcybiskupów
i osiemnastu biskupów, a ojciec święty z Rzymu od-

prawił mszę świętą. Była wielka uroczystość: obecnych było dwudziestu sześciu opatów i czterech królów koronowanych. Dnia tego przyprowadzono króla Ludwika, złożono na ołtarzu koronę, arcybiskup przystąpił do pulpitu i tak przemówił do zgromadzonych:

— Posłuchajcie mnie, baronowie! Nasz Karol Wielki przeżył już długie lata, nie może już dłużej nosić korony, więc chce ją oddać synowi.

Usłyszawszy to, ucieszyli się wszyscy i podnieśli ręce ku niebu, dziękując Bogu, że nie będzie nad nimi panował obcy.

Wtedy cesarz wezwał do siebie syna i rzekł:

— Widzisz tę koronę na ołtarzu? Daję ci ją za taką cenę: nie popełniaj niesprawiedliwości, grzechu, ani zbytku, nie zdradzaj nikogo, nie zabieraj sierocie lenna. Jeżeli przyrzekasz tak czynić, wielbić będę Boga. Bierz koronę! niech ci uwieńczy skronie! Jeżeli nie, zostaw ją na ołtarzu: nie pozwalam ci jej dotknąć.—Mój synu, Ludwiku! widzisz tę koronę? Jeżeli ją weźmiesz, będziesz cesarzem rzymskim, będziesz mógł zebrać tysiące ludzi na wojnę, przekroczyć wody Garonny, zgnieść lud pogański, a jego ziemię przyłączyć do naszej.

Jeżeli chcesz tak uczynić, daję ci koronę; jeżeli nie, to jej nigdy nosić nie będziesz. — Jeżeli masz przyjmować przekupne dary, pomagać pysznym, popierać występki, dziecku zabierać jego lenno, wdowie choćby cztery denary; to na Chrystusa! zabraniam ci kiedykolwiek nosić tę koronę.

Pacholę Ludwik słuchało, lecz nie zrobiło ani kroku. Więc niejeden z uczciwego rycerstwa zapłakał, a cesarz począł się gniewać i mówił: — Niestety, jakżem się zawiódł! Chyba to nie moje dziecko ten tchórz. Zrobić go królem byłoby wielkim grzechem. Obetnijmy mu raczej włosy i osadźmy w klasztorze: niech kręci powrozy i będzie parobkiem od gnoju! Dostanie prebendę, żeby nie potrzebował zebrać.

Siedział obok króla dumny i pyszny Arneis Orleański i ten tak przemówił:—Dostojny cesarzu, uspokój się i posłuchaj! Królewicz jest młody, ma dopiero lat piętnaście; więc ciężar rządów włoż na mnie, jeśli łaska! Po trzech latach zobaczymy, co z niego będzie; a jeżeli się okaże, iż jest godnym twoim następcą, oddam mu wtedy władzę i wszystkie ziemie wraz z tem co jeszcze zdobędę.

Cesarz zgodził się na to, i Arneis byłby został

królem, gdyby nie przybycie Wilhelma. Wilhelm powracał z lasu z polowania, kiedy przypadł do niego siostrzeniec, a na zapytanie, skąd przybywa, odpowiedział z pośpiechem:

— Na miłość Boską, panie, jedź do klasztoru! Byłem tam świadkiem strasznego czynu: Arneis chce oszukać zasnętego króla—ma zostać władcą.

A na to Wilhelm:

— Źle sobie umyślił.

I z obnażoną szablą wjechał do klasztoru, mając zamiar zabić Arneisa. Ale przypomniał sobie, że zabijać człowieka, to grzech śmiertelny, więc schował szablę do pochwy. Potem jednak przystąpił do Arneisa, zakasał rękawy, chwycił go lewą ręką za włosy, a prawą uderzył tak mocno w szyję, że mu zgruchotał szczęki, i Arneis nieżywy upadł u stóp jego.

— Pasibrzuchu!—powiedział do trupa—przekleństwo Boże niech spadnie na ciebie! Czemużeś chciał oszukać prawowitego pana, któregoś winien był kochać i cenić? Oto masz godną ciebie zapłatę! Chciałem cię tylko trochę ukarać; a kiedyś umarł, nie dbam już o to!

Zobaczywszy zaś na ołtarzu koronę, przystąpił zaraz do niego, wziął ją i włożył królewiczowi na głowę, mówiąc:

— Weź ją w imię Boże! Niech ci Król Niebieski da siłę, żebyś był dobrym stróżem sprawiedliwości!

Cesarz ojciec uradował się wielce i rzekł:

— Hrabio Wilhelmie, dzięki ci serdeczne! Ród twój poczeiwie służy mojemu.

Synu Ludwiku, posłuchaj słów moich! Bóg ustanowił władzę nad ludami, ale nie po to, żebyś sądził nieuczciwie, popełniał zbytek, pomagał występkom, zabierał lenno sierocie, denary ubogiej wdowie. Masz zwalczać nieprawości, łamać i tępić. Ubogi nie powinien się nigdy słusznie żalić, a jeśli się poskarży, słuchaj go cierpliwie, poradź i dla miłości Boga wymierz sprawiedliwość. Względem pysznego bądź także dumny, jak lampart, co pożera ludzi; a gdyby kiedy zechciał z tobą wojować, zwołasz szlachetnych rycerzy i możesz ich mieć ze trzydzieści tysięcy; obleżesz go w jego warowni, spustoszysz kraj jego i pokonasz. Gdyby się dostał w twoje ręce, nie miej nad nim litości, raczej każ mu poobeinać członki, spalić ogniem

albo utopić; bo gdyby cię Francuzi zobaczyli pokonanego, mogliby powiedzieć ku twojej hańbie: „Nie potrzeba nam było takiego króla. Przeklęty, kto pójdzie z nim na wojnę albo na dwór jego, by go ucześć“. Powiem ci jeszcze, synu: nie wybieraj sobie doradcy z pospólstwa, ani syna wójta, ani dozorca — bo tacy zamiast nagrody mogliby cię zdradzić, — lecz weź sobie Wilhelma, godnego wojownika, syna Aimerego Narbończyka, brata Bernarda z Brabantu. Jeżeli tacy zechcą cię wspierać i pomagać, będziesz mógł wiele zdziałać.

Młodzieniaszek Ludwik rzekł na to:

—Prawdę mówisz, ojcze,—podszedł do hrabiego Wilhelma i rzucił mu się do nóg. A dzielny hrabia uściskał go i zapytał:

— Czego chcesz, pachole?

— Panie, przez Boga, żądam twej łaski i pomocy. Ojciec powiada, że jesteś dobrym rycerzem i że takiego barona niema pod sklepieniem nieba. Chcę ci oddać w opiekę moje ziemie i lenna, żebyś się nimi opiekował, dopóki nie dorosnę do noszenia zbroi.

Hrabia zgodził się na to, przysiągł na świętych patronów klasztoru, że nie weźmie sam ani szeląga.

chyba że mu Ludwik da dobrowolnie. Potem zbliżył się do Karola i ukląkł przed nim z temi słowy:

— Dostojny cesarzu, przychodzę cię pożegnać, bo muszę jechać presto do Rzymu pomodlić się do świętego Piotra. Już lat piętnaście, jakim to obiecał uczynić, a nie mogłem wykonać; teraz nie godzi mi się dłużej zwlekać.

Rad nierad musiał cesarz pozwolić. Dał mu sześćdziesięciu rycerzy, trzydzieści koni objuczonych złotem i srebrem, ucałował przy rozstaniu, i hrabia, nie zwlekając, puścił się w podróż. Ludwik zabiegł mu drogę i z płaczem tak mówił:

— Szlachetny hrabio, błagam cię na Boga: widzisz, że mój ojciec chylił się ku grobowi, a ja jestem bardzo młody; jeżeli zostanę bez pomocy, to źle ze mną będzie.

— Bądź spokojny! — odpowiedział hrabia.— Na apostoła, którego wzywamy u ołtarza! kiedy odbędę tę pielgrzymkę, wezwij mnie tylko swoim piśmem z pieczęciami albo przez zaufanego człowieka, a nikt mnie nie powstrzyma od tego, bym ci pośpieszył na pomoc z całym swoim rodem.

2. Wilhelm Krótkonosy w Rzymie.

Pojechał Wilhelm z kilku rycerzami i giermkami. Jechali przez Romanie *) i nie zatrzymywali się nigdzie, aż dopiero w Rzymie. Giermkowie wynaleźli im gospodę, posilili się wszyscy i hrabia udał się zaraz na spoczynek, bo był potężnie zmęczony. Zasnął i miał sen straszny. Od strony Rusi zbliżył się szeroki ogień i ogarnął Rzym zewsząd. A wtem całym pędem nadleciał chart samotny; Wilhelm leżał pod rozłożystym drzewem i przestraszył się wielce, bo zwiierz tak go mocno uderzył łapą,

*) Italię, Włochy.

jakby go przybił do ziemi. Obudził się hrabia w tym śnie, westchnął do Boga, a owe przepowiednie zaraz się sprawdziły. Bo oto nadeszli ku Rzymowi Saraceni: król Galafer i król Pomroczny z królem Kremu i admirałem Korsoltem zajęli główne twierdze i wzięli do niewoli króla Gaifiera z prześliczną żoną i trzydziestu tysiącami jeńców. Byliby im wszystkim poucinali głowy, lecz dzięki łasce Niebios, Wilhelm uwolnił ich z rąk wroga, pomimo że Korsolt z za morza Czerwonego, człowiek niesłychanej siły, obciął mu kawał nosa. To wszystko było we śnie.

Wczesnie rano obudził się Wilhelm i poszedł do kościoła na nabożeństwo. Tam złożył swą zbroję i oręż na ołtarzu. Papież był to człowiek pełen uprzejmości: ubrał się pięknie i odprawił mszę świętą. Już było po nabożeństwie, kiedy śpiesznie nadjechali gońcy i zaczęli opowiadać takie nowiny, że niejeden baron bardzo się zaniepokoił.

Smutne to były nowiny: Saraceni napadli na posiadłości papieża, zniszczyli je znacznie, zdobyli miasto Kaprę i wzięli do niewoli trzydzieści tysięcy jeńców; zginał wszyscy jeńcy od miecza, jeżeli nie będzie pomocy. Papieża wzruszyły mocno te wieści i poszedł,

prosić Wilhelma. Wilhelm klęczał na płycie marmurowej i modlił się do Ojca Niebieskiego, żeby mu dał siły i sławę i męstwo, jemu i jego panu, synowi Karola. Papież nie chciał czekać i uderzył Wilhelma laską po łopatce. Hrabia zwrócił ku niemu twarz, pochylił się do stóp jego, a papież zaczął tak mówić:

— Szlachetny rycerzu, przez Boga, obrońcę sprawiedliwości, czy możesz mi dopomódz? Napadli na nas poganie z królem Galaftrem na czele; gnębią naszych obrońców; wzięli do niewoli możnego króla Gai-fiera z córką i żoną i trzydziestu tysiącami nieszczęśliwych brańców; jeżeli im nie pomożemy, stracą wszyscy życie.

— Boże dopomóż! — rzekł hrabia z dumnym okiem, a usłyszawszy o tylu królach, przeżegnał się pobożnie.

— Ale siostrzan zadziwił się i mówi:

— Wuju Wilhelmie, cóż czynisz? Pierwszy raz widzę, że się boisz człowieka.

— Na Boga, nie przeszkadzaj! Przeciwno takiej sile nie podoła nasza; trzeba wyprawić gońca do Ludwika, żeby nam przyszedł na pomoc. Król jest już stary i niedołężny; niech się zajmuje sądami.

Ale siostrzan Bertrand odezwał się wtedy:

— Przez Boga żywego! Niech marnie zginie, ktoby się podjął takiego poselstwa! Niech mu podziurawia, tarczę, połamia zbroję, a jego samego przebijają! Paganie nastają na nas setkami i tysiącami; a więc żwawo do broni! Niema się co namyslać; brońmy się niezwłocznie!

Więc papież znów począł błagać Wilhelma, aby im pomógł przeciwko dzikim ludom. Ale Wilhelm tłumaczył, że wybrał się na pielgrzymkę tylko z sześćdziesięciu zbrojnymi i że nie może walczyć przeciwko tłumom.

— Bóg nam pomoże — mówił ojciec święty. — Oto święty Piotr, strażnik dusz ludzkich. Jeżeli za niego będziesz walczył, będzie ci wolno jeść mięso codziennie, nie popełnisz nigdy wielkiego grzechu, bylebyś się strzegł zdrady; a w raju otrzymasz miejsce, jakie Bóg przeznacza dla swoich wiernych, bo święty Gabryel będzie twym przewodnikiem,

— Hejże! Bóg z nami! zawołał hrabia. — Żeby tam nie wiem co, żeby nie wiem, jaki straszny poganin, pójdę jako żywo bić się z tymi pasibrzuchami. Sio-

strzanie Bertrandzie, idź przywdziać zbroję! tak samo Guelin i inni panowie!

Kazał więc podać sobie zbroję, wdział koleczugę i hełm zielony, przywiesił miecz u boku; przyprowadzono mu rumaka, wskoczył na niego, nie dotknawszy strzemięcia. Na szyi wisiała mu czerwona tarcza, w rękę ujął proporzec pięciu złotymi gwoździami przybity do drzewca.

— Miłościwy panie, papieżu—zapytał — ile masz ludzi w swym kraju?

Papież mu odpowiedział:

— Powiem ci prawdę: jest nas trzy tysiące, każdy w koleczudze, pięknego wzrostu i z ostrym mieczem.

A na to hrabia:

— To dobry początek. Niechże się uzbroją, i wszyscy także piesi, co będą bronili bram i wałów.

Kiedy się baronowie zgromadzili, papież im obiecał rozkosze raj, jeżeli polegą w boju, a potem oświadczył, że pójdzie naprzód rozmówić się z wodzem Saracenów:

— Powiem emirowi Galafrowi, że jeśli powróci swymi okrętami i łodziami i ze swoim wojskiem, co

jest na tym brzegu, to mu daruję skarby z ołtarza, że nie zostanie ani jednego kielicha, ani mitry, ani nic, co ma wartość choćby szeląga; bo wolę tak zrobić, niżby miało ginąć tylu zacnych mężów.

Baronowie pochwalili ten zamiar, więc papież pojechał z jednym tylko opatem i nie zatrzymywał się, aż dopiero przed namiotem emira. Został tam potężnego Galafra, wszedł i nie pozdrowił go nawet, bo się nie godziło.

Potężny władca patrzył na niego dumnie, a papież zaraz tak mówić doń począł:

— Władco, przysłał mnie tu Bóg i święty Piotr, strażnik dusz ludzkich, więc ci oświadczam: jeżeli wrócisz ze swymi okrętami i łodziami i ze swym wojskiem, co tu obozuje, to ci daruję skarby z ołtarza, że nie zostanie ani jednego kielicha, ani jednej mitry, ani nic takiego, co ma wartość choćby szeląga; bo pocóż ma ginąć tylu zacnych mężów?

Ale król odrzekł:

— Niebardość mądry. Przybyłem tutaj objąć swe dziedzictwo, co je zostawili po sobie moi przodkowie, dziadowie: Romulus i Juliusz Cezar, który zbudował te mury, te mosty i wały. Jeżeli zdołam siłą

obalić te słupy, to zniszczę wszystko, co należy do Boga, a Jego słudzy poniosą wstyd i szkodę.

Papież przeraził się wielce — wolałby tam nie być, choćby mu dawano wszystko złoto Kartaginy. Prosił emira, żeby mu pozwolił odejść swobodnie i dał do ochrony trzech swoich Saracenów. Ale król Galafer rzekł jeszcze do niego:

— Posłuchajno, panie w szerokiej czapie! Nie będziesz mógł mówić, że ci wyrządzam krzywdę, zabierając miasto, które jest mojem dziedzictwem. Wybierz sobie ze swoich uzbrojonego męża i ja sobie wezmę z mojego plemienia; każemy im stanąć w polu jak sapersom *). Jeżeli twój Bóg ma taką władzę i potrafi sprawić, żeby mój wojak był zwyciężony przez twojego, to Rzym stanie się twoją własnością i już w ciągu całego twego życia nie znajdzie się człowiek, któryby ci cokolwiek odebrał. Gdybym miał nie dotrzymać słowa, to zatrzymajcie jako zakładników moich dwóch synów: niczy nie pomógł żaden

*) Sapersz a. sampierz a. szampierz = współzawodnik w boju, w pojedynku.

Kiedy papież usłyszał te słowa, cóż dziwnego, że się przeraził?

Więc z opatem tak sobie mówili:

— Na świętego Dyonizego, ten Turek jest wściekły! Wielki to dziw, że go jeszcze nie pożarła ziemia, że go Bóg nie stracił w ogień piekielny. O, dzielny Wilhelmie, hrabio z dumnem obliczem! niech ci pomaga Ukrzyżowany! bo przeciw sile tego człowieka niczy nie znaczyła twoja.

Potem papież poprosił pysznego Galafera o eskortę, a Galafer dał mu swoich dwóch synów i ci odprawdzili go pieszo aż do Rzymu. Hrabia Wilhelm wyszedł na spotkanie papieża, przytrzymał mu strzemię i zapytał:

— Jakże waś się powiodło, miłościwy panie? Powiedzcie mi: widzieliście nieprzyjaciela, co przeciw Bogu chce o Rzym walczyć?

— Tak, dobry panie; nie będę tego przed tobą ukrywał: to nie jest człowiek, to raczej szatan. Gdyby Roland i Olivier *) i wszyscy dwunastu parów

*) O Rolandzie, bohaterze tak samo z czasów Karola Wielkiego, mówią liczne podania. Niewiadomy autor opraco-

byli żywi, i gdyby tu był Aimeri waleczny, twój sławny rodzic, godny chwały, i wszyscy wasi bracia, znakomici rycerze: toby się nie odważyli wystąpić z nim do boju.

— Na Boga! — mówił Wilhelm — co to znaczy? Otóż widzę dobrze, że duchowieństwo słabnie. Alboż nie mówicie sami, że Bóg jest taki dobry, iż jeśli chce komu pomagać, to nikt mu nie potrafi wyrządzić krzywdy ani hańby? Na apostoła, do którego przychodzimy modlić się do Rzymu! choćby nieprzyjaciół był wysoki na dwadzieścia sążni, zwalczyłbym go żelazem i stalą. Jeżeli Pan Bóg chce poniżyć naszą wiarę, to mogą być zabitym i poćwiertowanym; ale jeżeli mnie zechce wesprzeć, to niema pod niebem człowieka, któryby mógł mi wyrządzić krzywdę.

— Najszlachetniejszy rycerzu! rzekł na to papież — niechaj cię strzeże Ten, który umarł na krzyżu! Jeszcze nikt nie przemawiał takimi śmiałościami słowy.

wał je w jednej z najsłynniejszych „chansons de geste“. Olivier to przyjaciel Rolanda. Przekład polski „Pieśni o Rolandzie“ daliśmy w r. 1905 w dodatku książkowym do „Przyjaciela“.

Niechże cię wspiera Jezus, skoro w Nim złożyłeś wszystkie swoje myśli.

Potem przyniesiono rękę świętego Piotra, zdjętą z niej ozdoby złote i srebrne i podano hrabiemu, żeby ucałował staw kości; a następnie papież zrobił relikwią znak krzyża na hełmie stalowym, na sercu, i z przodu i z tyłu. Cenny ten klejnot sprawił, że niktby nie potrafił uszkodzić hrabiego cielesnie nawet na grubość dwóch denarów.

Dosiadł więc hrabia dzielnego rumaka, na szyi zawiesił tarczę z czterema polami, wziął w rękę ostry oszczep — i nie zwlekając pośpieszył na wzgórek. Przypatrywali mu się ciekawie Saraceni i inni poganie i mówili jeden do drugiego: „Piękny to rycerz, śmiały i roztropny, dworski i wyćwiczony. Gdyby miał walczyć z podobnym sobie, to z początku musiałby być bój wspaniały; ale przeciwko Korsoltowi nic nie znaczy jego siła, bo Korsolt nie dbałby o czternastu takich.

Wyszedł król Galafer ze swego namiotu, obuty i odziany prawdziwie po królewsku; spojrział na wzgórek, zobaczył na nim rycerza i rzekł do swoich:

— Przyjechał Francuz — stoi tam na wzgórzu. Dobrze na nim leży tarcza; ma walczyć z roslym i tegim Korsoltem, ale w porównaniu z nim sam jest nędzny i drobny. Chybaby nie chcieli Mahomet i Kahu, gdyby nie miał paść zwyciężony przez Korsolta.

Kazał król przywołać Korsolta, a kiedy tenże nadchodził, wyszedł na jego spotkanie z wyciągniętymi rękoma:

— Witaj mi, siostrzeńcze! Tam na wzgórzu stoi Francuz gotowy do boju.

Korsolt odpowiedział:

— To jakby już umarł, jakby już pobity. Skoro jest, to nie trzeba będzie na mnie czekać. Dawajcie ci oręż! nacóżbym miał zwlekać?

Siedmiu królów i piętnastu książąt pobiegło po zbroję i przynieśli ją Korsoltowi pod rozłożyste drzewo. A takiej zbroi chyba nigdziebys już nie znalazł: gdyby ją kto inny wdział na siebie, to nie ruszyłby się z miejsca za wszystko złoto na świecie. Czternaštu królów uzbrajało olbrzymiego wojaka: włożyli mu na plecy pancerz stalowy, na pancerz białą podwójną koleczugę, przywiesili miecz, którym można stał przeciąć, długi na sążen, pół stopy szeroki. Wziął też łuk

i koleczan opleciony sznurem, także kuszę z czworograniastymi grotami ze stali i wyostrzone groty do miotania z ręki.

Potem mu przyprowadzili konia Aliona: pyszny to był rumak a taki ognisty, że na sążen do siebie przystąpić nie dawał obcemu. Jeszcze do siodła były przywiązane cztery pociski ręczne i z tyłu do lęku także żelazo. Boże! jakież to był koń dla tego, kto go potrafił poskromić! pędził szybciej od zająca i od charta. Królewicz Korsolt dosiadł rumaka i zawiesił sobie na szyi złoconą tarczę, długą na dobry sążen, potem głośno zawołał:

— Słuchajcie-no! Niech się zaraz zbiorą dowódcy! Trzeba przyrządzić stoly, przygotować jedzenie; bo dla tego Francuza nie warto się spóźniać. Prędzej go zabiję i posiekam, nimbyście zdążyli przejść pieszo pół stajania. Nie dotknę go wcale swą szablą, ale jeżeli zwalę się na niego, a nie obalę i jego i konia, to żaden wolny człowiek niech mi nie da jeść nigdy.

Na to poganie krzyknęli:

— Niech ci pomaga Mahomet!

Hrabia Wilhelm zobaczył zbliżającego się nieprzyjaciela, a że ten był wstrętne brzydki i dosko-

— Przyjechał Francuz — stoi tam na wzgórzu. Dobrze na nim leży tarcza; ma walczyć z roslym i tęgim Korsoltem, ale w porównaniu z nim sam jest nędzny i drobny. Chybaby nie chcieli Mahomet i Kahu, gdyby nie miał paść zwyciężony przez Korsolta.

Kazał król przywołać Korsolta, a kiedy tenże nadchodził, wyszedł na jego spotkanie z wyciągniętymi rękoma:

— Witaj mi, siostrzeńcze! Tam na wzgórzu stoi Francuz gotowy do boju.

Korsolt odpowiedział:

— To jakby już umarł, jakby już pobity. Skoro jest, to nie trzeba będzie na mnie czekać. Dawajcie ci oręż! nacóżbym miał zwlekać?

Siedmiu królów i piętnastu książąt pobiegło po zbroję i przynieśli ją Korsoltowi pod rozłożyste drzewo. A takiej zbroi chyba nigdziebyś już nie znalazł: gdyby ją kto inny wdział na siebie, to nie ruszyłby się z miejsca za wszystko złoto na świecie. Czternastu królów uzbrajało olbrzymiego wojaka: włożyli mu na plecy pancerz stalowy, na pancerz białą podwójną koleczugę, przywiesili miecz, którym można stał przeciąć, długi na sążen, pół stopy szeroki. Wziął też łuk

i kołczan opleciony sznurem, także kuszę z czworograniastymi grotami ze stali i wyostrzone groty do miotania z ręki.

Potem mu przyprowadzili konia Aliona: pyszny to był rumak a taki ognisty, że na sążen do siebie przystąpić nie dawał obcemu. Jeszcze do siodła były przywiązane cztery pociski ręczne i z tyłu do łuku także żelazo. Boże! jakiż to był koń dla tego, kto go potrafił poskromić! pędził szybciej od zająca i od charta. Królewicz Korsolt dosiadł rumaka i zawiesił sobie na szyi złoconą tarczę, długą na dobry sążen, potem głośno zawołał:

— Słuchajcie-no! Niech się zaraz zbiorą dowódcy! Trzeba przyrzadzić stoły, przygotować jedzenie; bo dla tego Francuza nie warto się spóźniać. Prędzej go zabiję i posiekam, nimbyście zdążyli przejść pieszo pół stajania. Nie dotknę go wcale swą szablą, ale jeżeli zwalę się na niego, a nie obalę i jego i konia, to żaden wolny człowiek niech mi nie da jeść nigdy.

Na to poganie krzyknęli:

— Niech ci pomaga Mahomet!

Hrabia Wilhelm zobaczył zbliżającego się nieprzyjaciela, a że ten był wstrętne brzydki i dosko-

nale zbrojony, więc nie byłoby dziwem, gdyby go się przeląkł. Ale on tak tylko modlił się do nieba:

— Maryo Najświętsza, co to za śliczny rumak! dobry byłby zaiste dla rycerza. Trzeba go oszczędzać. Boże sprawiedliwy, uczyn tak, żeby go nie dotknęła moja szablica!

Zaprawdę nie były to słowa tchórza.

Potem Wilhelm zsiadł z konia, zwrócił się twarzą ku wschodowi i wygłosił z pokorą długą modlitwę, jak zwykle w takich razach, zawierającą wyznanie wiary, oparte na Starym i Nowym Testamencie. Przeklął się znakiem krzyża i powstał.

Saracen patrzył na to zdziwiony i zapytał:

— Powiedz mi, mój Francuzie, nie ukrywaj przede mną: do kogóż to przemawiałeś tak długo?

— Powiem ci prawdę — odrzekł Wilhelm: — do Boga chwały, do Króla majestatu, żeby mię wspierał i sprawił Swoją wielką dobrocią, bym ci mógł posiekać członki i przytrześć ci rogów w tej walce.

A na to poganin:

— Szalone myśli! Alboż ty wierzysz, żeby twój Bóg miał siłę obronić cię od moich ciosów?

Tu pobożny Wilhelm począł z zapalem wychwalać swoją wiarę, ale i Korsolt nie mniej wychwalał swoją; aż wreszcie jeden i drugi zaczęli sobie nawzajem obiecywać wielkie skarby, jeżeli się przeciwnik nawróci na jego religię.

Nakoniec Wilhelm dosiadł znów konia i przeciwnicy wypowiedzieli sobie ostatnie wyzwanie. Wtedy Korsolt rzekł do Wilhelma:

— Zrobię ci wielkie ustępstwo: weź kopię, ściśnij i uderz w moją tarczę, a ja się nie ruszę. Chciałbym widzieć, jaka jest twa siła i jak się bije taki człeczyna.

Więc Wilhelm na to:

— Byłbym szalony, gdybym jeszcze zwlekał.

Dał koniowi ostrogę i spuścił się z góry (a góra była duża i szeroka), przycisnął broń do boku — Saracen nie ruszał się z miejsca.

Zobaczył to z daleka papież i zawołał:

— Oj, będzie bitwa! Dalejże na ziemię, mali rozumem i mądrzy! niech każdy z całego serca prosi Boga, żeby nam wrócił do Rzymu Wilhelm Dumne Ramię bez szwanku na zdrowiu.

Szlachetny hrabia widział, jak się baronowie za nim modlą; nie zwlekał już dłużej spać konia ostrogą, popuścił cugli, potrząsnął kopią z jedwabnym proporcem i ugodził pogańca w czerwoną tarczę. Przebił malowanie i drzewo, przebił białą kolczugę, nie pomógł hartowny pancerz — kopia przeszła ciało i wyszła z tyłu, tak że możnaby było na niej z tamtej strony na grocie zawiesić czapkę.

Hrabia uderzył z taką siłą, że teraz z wielką trudnością dopiero udało mu się wyciągnąć żelazo z ciała.

Ale poganiec nie stracił ducha i rzekł cichym głosem, żeby nikt nie słyszał:

— Na Mahometa, któremu składam hołdy! szalonym byłby, ktoby żartował sobie z tego człowieczka, widząc, jak się bije. Kiedym go dziś rano zobaczył na błoni, lekko sobie ważyłem i jego męstwo; a z drugiej strony głupstwu uczynił, że mu nad sobą pozwolił dobrowolnie wziąć górę, bo jeszcze żaden człowiek nie wyrządził mi takiej szkody.

I tak to wszystko wziął do serca, że omal nie zemdlał.

A tymczasem hrabia Wilhelm gotował się pośpiesznie do ponownego natarcia. Uderzył znów poganina z taką siłą, że przeciął mu spięcie na szyi, a tarcza z kwiatami złotymi upadła na ziemię. Wszyscy Rzymianie wołali wtedy głośno:

— Baronie, jeszcze raz uderz! Niech ci Bóg pomaga! O święty Piotrze, ratuj nas dzisiaj!

Hrabia usłyszał te słowa zachęty, spać znów konia ostrogami i rzucił się pędem. Potrząsnął kopią, rozwinął proporzec i ugodził poganina, aż się kolczuga rozerwała; nie pomógł też pancerz hartowny — kopia przeszła ciało na wylot, aż się po drugiej stronie pokazało żelazo. Kogo innego byłby zabił cios nawet mniejszy; ale Saracen nie stracił przytomności: odczepił dziryt od łęku siodła i cisnął nim w Wilhelma z taką siłą, że pocisk zagrzmiał jak piorun padający. Bohater się nachylił ze strachu przed śmiercią; zbroja na grzbiecie została przeszzyta, ale Bóg nie chciał, by pocisk dotknął ciała.

— Boże—mówił hrabia—obroń mnie, Panie, żebyś nie zginał niesłusznie!

A tymczasem Korsoltowi boleśnie dokuczała rana kopia przebiła mu płuca, krew z nich spływała aż na

ostrogę. Więc cichym głosem, by go nie słyszano, tak rzekł do siebie:

— Na Mahometa, pełnego litości! Jeszcze mnie nigdy żaden człowiek nie opatrzył tak szpetnie. Po cóżem głupi tak ustępował?

Odjął znów od łęku pocisk i rzucił nim z całą mocą w Wilhelma, aż żelazo zadźwięczało, jakby przecieiał orzeł. Dzielny nasz hrabia odwrócił się nieco, pocisk przecieiał mu tarczę z lwiej skóry i śmignął koło boku tak silnie, że na dwie stopy zagłębił się w piasku. Ale Wilhelm spostrzegł go zawczasu i uchylił głowy. Potem pobożnie wzywał pomocy Bożej, odmówił modlitwy i temi kończył je słowy:

— Jako w to wszystko należy wierzyć prawdziwie, tak broń mnie, Panie, od śmierci i od niewoli! Niechaj mnie nie zabije nikczemny Saracen! Tyle ma broni, że ani przystąpić do niego nie można: z boku wisi kusza, mnóstwo żelaza zwiesza się u łęku; jeżeli tak zechce Bóg, co przebaczył łotrowi na krzyżu, będzie zwycięzcą, bo ma obfitość oręża.

A Korsolt krótko do niego przemówił wyzywającami słowy:

— Hrabio Wilhelmie, jakież masz serce tchórzowskie! a jednak wyglądasz na dobrego szampierza. Tylko że z powodu tej broni nie ocalisz życia.

Zwrócił swego rumaka aragońskiego, wyjął szablę, co mu wisiała u boku, i tak uderzył Wilhelma, że mu przecieiał nanośnik i hełm, przecieiał czepec kolczugi, obciął włosy nad czołem i wreszcie koniec nosa (nieraz odtąd znosił za to Wilhelm liczne przytyki). Nie dosyć na tem: cios uderzył poza łękiem siodła i uczynił z konia dwa odłamy; a był taki wielki i z takim zamachem, że trzysta ogniwek z kolczugi rozsypało się po piasku. Ale szabla wypadła z rąk niegodziwcowi.

Hrabia Wilhelm stanął mocno na nogach, wyciągnął miecz, co mu wisiał u pasa, i chciał uderzyć w hełm Korsolta; ale Korsolt był takiego wzrostu, że za wszystkie skarby w świecie nie mógłby tego dokonać. Cios spadł tylko na podwójną kolczugę — i trzysta z niej kólek posypało się na piasek; hartowna zbroja ochroniła Turka — Wilhelm nie zranił go wcale. A Korsolt wyrzekł te słowa chełpliwe:

— Hrabio Wilhelmie, jakież masz nędzne serce! Twoje uderzenia nie warte chrańszcza.

Wszyscy Rzymianie i papież, przejęci dreszczem, zawołali wielkim głosem:

— O święty Piotrze, ratuj swojego bojownika! Jeżeli zginie, zasłużysz na wyrzuty: w kościele twoim, póki żyć będziemy, nie będzie się odprawiała msza święta, nie będzie czytań pobożnych.

Hrabia stał dalej uzbrojony na wzgórzu. Widział, że poganinowi wypadła z rąk szabla, którą przeciał jego koniowi kość pacierzową. Turek odstąpił na odległość pocisku z kuszy; potem, spinając konia ostroga, wyciągnął maczugę i rzucił się ku Wilhelmowi z rozdziawioną paszczą, pieniać się jak zwierz rozjuszony, którego psy pędzą w gałęzistym lesie. Zobaczył to Wilhelm i podniósł swą tarczę: Turek ugodził w nią z takim rozmachem, że zgruchotał ją od jednego końca do drugiego i przebił w środku, tak iż przez zrobioną dziurę mógłby swobodnie przelecieć krogulec. Maczuga przeleciała tuż koło helmu, aż hrabia musiał pochylić głowę. Nie byłby on nigdy ocalał Rzymu, gdyby nie Pan Bóg i Święta Dziewica.

Znowu Rzymianie krzyknęli głośno, a papież powiedział:

— Co czynisz, święty Piotrze? Jeśli on zginie, źle będzie z nami; do końca życia nie będę mszy śpiewał w twoim kościele.

Ogluszył hrabiego Wilhelma na długo cios otrzymany; ale mocno go zdziwiła rzecz jedna: że Turek mógł jeszcze usiedzieć na koniu, choć mocno krwią zbaczony. Gdyby był zechciał, mógłby go strącić na ziemię, ale oszczędzał, ile można, rumaka, bo sobie myślał, że jeśli go zdobędzie, to jeszcze dobry będzie miał z niego użytek.

A Saracen, zbliżywszy się do Wilhelma, tak go lając poczał:

— Podły rycerzu! nie tęgoś obdarzon, bo masz już tylko połowę nosa. Dostaniesz prebendę od króla Ludwika, a wstyd to będzie dla twojego rodu. Nie już, jak widzę, nie poradzisz sobie; trzeba mi wracać z twojem ciałem, bo tam mój władca czeka mnie z jędzeniem i pewnie się dziwi, że się tak spóźniam.

I nachylił się ku łękowi siodła, bo chciał chwycić hrabiego i posadzić go na szyi swego rumaka. A Wilhelm myślał, że Korsolt traci przytomność, przygotował się dobrze do zadania ciosu, uderzył, nie myślcąc go wcale oszczędzać, w hełm polyskujący złotem,

aż się posypały kwiaty i kamienie, przeciał nagłówek i pochylił jeźdźca do samej szyi rumaka; przygniotła go zbroja — nie mógł się Korsolt wyprostować znowu.

— Boże! — zawołał Wilhelm — jakżem ja pomścił swój nos obcięty! Nie będę prebendaryuszem Ludwika, nie spadnie za to wstyd na ród Wilhelma. Wyrwał rękę Korsolta z wieszadła tarczy, a samą tarczę cisnął na ziemię. Był to czyn śmiały, jak nigdy na świecie. Gdyby Saracen był cały i zdrow jeszcze, byłaby teraz zawrzała znów walka nielada; ale dzięki Bogu — nie już poradzić nie mógł. Hrabia nie zwłóczył ani chwili: chwycił obu rękami za głównię miecza, uderzył bez litości pomiędzy wiazadła pasiastego helmu — a hełm wraz z głową poleciał o cztery stopy. Tułów się zachwiał i Saracen spadł z konia.

Hrabia Wilhelm krzątał się żywo; chciał przypasać do boku szablę; co mu nos obcięła, ale była za długa, więc ją zawiesił na lęku siodła. Półtóry stopy za długie też były strzemiona — skrócił je porządnie. Dosiadł rumaka, wziął włócznię Saracena i rzekł z radością:

— Dzięki Ci, Boże, za tego konia, com go zdo-

był! Więcej on wart dla mnie, niż złoto całego miasta Montpellier. Dobrzem się dzisiaj oblowił.

I pojechał pośpiesznie ku Rzymowi. A tu papież pierwszy wyszedł na spotkanie i ucałował hrabiego, kiedy ten zdjął hełm z głowy. Popłakali się i jego siostrzan Bertrand i Guielin i dworski Gautier, bo nigdy jeszcze przedtem nie zaznali tyle strachu.

— Czyś aby zdrow i cały? — pytał Bertrand.

— Tak, dzięki Panu niebios; tylko mój nos się nieco skrócił. Ale też zato przedłuży się moje imię.

I sam tak się nazwał: „Odtąd, kto mnie kocha i ceni, wszyscy Francuzi niech mnie nazywają hrabią Wilhelmem Krótkonosym.“ I naprawdę już odtąd zawsze dawano mu ten przydomek.

Potem pojechali wszyscy dalej i zatrzymali się dopiero przed głównym kościołem; tam hrabia zsiadł z konia i pomodlił się serdecznie. A przez noc całą trwała wesola biesiada na cześć dzielnego rycerza, dopóki się nie ukazał świt poranny.

Wtedy zawołał Bertrand:

— Do broni, rycerze! Kiedy mój wuj potrafił dotrzymać pola przeciwko najmocniejszemu, którego się tak bano, to myśmy powinni spróbować walki ze sła-

bymi. Wuju Wilhelmie, idź teraz wypocząć, boś bardzo zmęczony.

Ale Wilhelm oświadczył, że będzie się bił jeszcze w pierwszym szeregu, a Rzymianie, nabrawszy otuchy z tak dzielnego wzoru, poszli się gotować do boju.

Król Galafer wyszedł ze swego namiotu ubrany i obuty prawdziwie po królewsku i rzekł do swoich:

— Zbyt drogo kosztował mnie dzień wczorajszy, skoro Korsolta zwyciężył ów rycerz. Potężny musi być ten Bóg, w którego oni wierzą! Zwijajcież co żywiej mój namiot i uciekajmy stąd! bo na cóż czekać dłużej? Jeżeli Rzymianie odzyskali znów ducha, to z wojska naszego nie wymknie się ani jeden.

A ludzie Galafra odpowiedzieli:

— Pójdziemy za twoją radą.

Zabrzmiało naraz trąb piętnaście; pohanicy ruszyli się i dosiedli koni. Wilhelm usłyszał zgłęb z daleka i odezwał się do swoich:

— Za długośmy czekali: uciekają poganie niewierni, wstrętne pasibrzuchy. Pędźmy za nimi w imię Chrystusa Pana!

Wszyscy Rzymianie zebrali się z głośnymi okrzykami. Szlachetny hrabia Wilhelm stanął w pierwszym

szeregu, acz bardzo osłabiony; uderzył kolącemi ostrogami konia Aliona (a koń był ognisty, że ledwie go można było utrzymać, i lekkim wydawał mu się każdy jeździec). Doścignęli pogan między dwoma wzgórzami i zawrzała krwawa bitwa: zaraz można było widzieć mnóstwo głów uciętych, nóg i kadłubów. Dzielnie się tam odznaczył hrabia Bertrand: skruszył kopię, wyciągnął szablę, a kogo nią dosięgnął, zatapiał ją w łonie, nie ostał się przed nią żaden szyszak; hrabia otrzymał kilka ciosów, ale jeszcze więcej ich rozdał. I Guelin nie szczędził razów i Gautier Tuluzańczyk; lecz nadewszystko postrach dokoła rozsiewał hrabia Wilhelm.

Z tarczą na szyi zbliżył się pędem do Galafra. Gelafier, ujrawszy go tuż koło siebie, tak się począł modlić do Mahometa:

— Mahomecie potężny, jakież mnie spotyka nieszczęście! Próżno do ciebie wołam, żebyś cud sprawił i żebym się uratował od Wilhelma!

Poczem spał konia kolczatą ostrogą. Ale Wilhelm zrozumiał jego zamiary. Posypały się z obu stron cięcia na tarcze, odpadły z tarcz obu sterczące środki, połupały się jasne zbroje, poleciały z boków

kawały żelaza... Ale Wilhelma wsparła pomoc Boga i świętego Piotra, bo był jego rycerzem: więc król pogański nie zadał mu żadnej rany; a znów hrabia Wilhelm wymierzył mu taki cios potężny, że królowi wypadły obie nogi ze strzemion, i rumak się zachwiał. A kiedy król Galafer upadł na ziemię, to jego hełm ostrokończasty z taką się siłą wbił w piasek, że aż pękły wiązadła. Wtedy hrabia Wilhelm stanął nad nim, wyjął miecz z gładkiej stali i chciał mu już odciąć głowę od tułowia. Pan Bóg sprawił ten cud niezmierny, żeby mnóstwo nieszczęśliwych i zbolących jeńców zostało dnia tego wyzwolonych z więzienia.

Hrabia Wilhelm był zacnym rycerzem. Miał przed sobą obalonego króla; gdyby był chciał, byłby mu uciął głowę; kiedy wtem król pogański w te przemówił słowa błagalne:

— Nie zabijaj mnie, jakeś Wilhelm! weź mnie raczej żywego, bo możesz dużo na tem zyskać. Dam ci za to bogatego króla Gaifiera z córką i żoną i trzydzieści tysięcy biednych jeńców. Jeżeli zaś zginę, wszyscy oni będą pozabijani.

— Na świętego Dyonizego! — rzekł hrabia dumno — za taką cenę daruję ci życie.

I wyprostował się w strzemionach. Król oddał mu swoją bogatą szablę; Wilhelm posłał ją zaraz papieżowi razem z trzystu innymi jeńcami.

A tymczasem Saraceni, niegodziwe nieponie, kiedy zobaczyli, że ich władca spadł z konia, rzucili się do ucieczki drogami, drożynami i z wielkim pośpiechem dopadli swych okrętów, wsiedli na nie prędko i zaraz odpłynęli od brzegu. Więc hrabia Wilhelm powrócił z pościgu i rzekł do króla, który bezbronny siedział pod drzewem oliwnem:

— Przez Boga sprawiedliwego, szlachetny władco! cóż będzie z biednymi jeńcami, co tam leżą związani na waszych okrętach?

Ale król na to odpowiedział:

— Niemądrze mówisz o tem. Na krzyż, którego wzywają wasi pielgrzymi! nie nie poradzisz, póki nie będę przez księdza ochrzczony, — bo już Mahomet nie może mi nic pomódz.

— Bądźże pochwalon za to, Boże! — rzekł hrabia Wilhelm.

Papież nie zwłóczył ani chwili, kazał przygotować wody święconej i król Galafer został ochrzczony. Ojcem chrzestnym był Wilhelm rycerz i Guielin

i dworski Gautier, a nadto ze trzydziestu innych znanych rycerzy. Nie zmieniono mu imienia, tylko przyjęto je za chrześcijańskie.

Po uroczystości w kościele rycerstwo zasiadło do stołów, a kiedy się już dosyć najedli, podniósł się hrabia Wilhelm z temi słowy:

— Zaczny królu! na Boga sprawiedliwego! szlachetny chrześniaku! cóż będzie z biednymi jeńcami, co tam na statkach leżą powiązani?

Król Galafer mu odrzekł:

— Trzeba mi nad pomyśleć. Gdyby Saraceni i poganie wiedzieli, że ja tu przyjął chrzest, to raczejby mnie żywcem ze skóry obdarli, niżby mieli oddać cokolwiek wartości szeląga.

Zdejmijcie ze mnie odzienie i posadźcie mnie na lichego podjezdka, a dajcie mi czterech tegich rycerzy i ukryjcie niedaleko Tybru, żebym ich mógł zawołać. Potem przygotujcie wszystkich swoich ludzi za murem w tym gaju oliwnym. Jeżeli Saraceni zechcą spróbować siły i przyjść mi na pomoc, bądźcie wszyscy gotowi do napadu.

— Boże! — zawołał Wilhelm — przez Twe święte

miłosierdzie! czyż może być lepszy nawrócony na naszą wiarę?

Uczynili więc wszystko, jak żądał król Galafer; nie chcieli go jednak bić wcale, tylko pomazali go krwią zabitego zająca. Potem co śpieszniej udali się nad Tyber.

Wtedy król Galafer zaczął krzyczeć głośno:

— Miły siostrzanie, przybywaj mi na pomoc! Każ tu wysadzić na ląd jeńców, bo dopiero wówczas wypuszczą mnie z niewoli.

Siostrzan królewski odezwał się na to:

— Dzięki Mahometowi, że na okup zostawił ci życie.

Potem kazał przybliżyć statek do brzegu i wysadzić z niego biednych jeńców. Niegodziwi poganie tak ich pobili, mszcząc się za swoją ucieczkę, że wszyscy jeńcy byli krwią zbroczeni od pasa do głowy. Aż płakał z litości Wilhelm wojownik, Dumnoreki.

Nie było ani jednego jeńca, któryby nie miał zakrwawionej twarzy i nie był zbity od łopatek po całem ciele. Więc Wilhelm wziął papieża na stronę i tak doń przemówił:

— Przez Boga żywego! iluż tu szlachetnych ludzi nie ma czem okryć ciała! Dajmy im skór, płaszców i kapeluszy, dajmy każdemu złota i srebra, żeby mieli w czem i za co powrócić do swych krajów.

Papież odrzekł na to:

— Szlachetny i szczerzy rycerzu! Cześć każdego wymaga, żeby był szczodry. Dobrze radzisz — tak uczynić należy.

Pojechali niezwłocznie do Rzymu; mieszkańcy pootwierali dla jeńców swe skrzynie, narozdawali im sukna, futer i czapek; każdy dostał srebra i złota w obfitości, każdy mógł z tem łatwo powracać do swego kraju.

Kiedy więc już wrócili Rzymianie do miasta i hrabia Wilhelm siedział sobie na ganku, nadjechał niespodziewanie bogaty król Gaifier, a zbliżywszy się, zaraz upadł hrabiemu do nóg z takimi słowy:

— Szlachetny panie! uczyniłeś mi wielką przysługę: wybawiłeś mi z rąk nieprzyjaciół, którzy byli by mnie w więzach uprowadzili do swego kraju, tak iż nie oglądałbym już nigdy swych posiadłości ani godności. Mam córkę piękną, jak żadna inna na świecie; daję ci ją z dobrego serca, jeżeli chcesz, to ją weź

i zaślub. Dostaniesz połowę moich posiadłości, a po mojej śmierci odziedziczysz wszystkie.

Hrabia mu odpowiedział, że musi się namyślić; poszedł do papieża i rzekł na stronie:

— Ojcze, jakże mi radzisz: czy mam wziąć tę niewiastę?

— Tak — odrzekł papież — szczerze ci to radzę: nieżonaty jesteś i potrzeba ci ziemi.

W samej rzeczy córka Gaifiera była najpiękniejszą kobietą, więc Wilhelm postanowił ją zaślubić.

Wtem nadjechali z Francji dwaj gońcy na spienionych koniach, bo śpieszyli się bardzo. Zaczęli się rozpytywać o Wilhelma i dowiedzieli się, że jest w kościele, bo właśnie tego dnia miały się odbyć jego zaślubiny. Był też tam i ojciec święty w uroczystych szatach, bo mszę miał odprawiać. Już hrabia brał pierścień na znak związku dozgonnego, gdy gońcy przypadli do stóp jego z takimi słowami:

— Na miłość Boską, Wilhelmie, miej litość nad nami! Zapomniałeś o królu Ludwiku, a tymczasem szlachetny władca Karol zakończył już życie. Na króla Ludwika spadają dziedzictwem wielkie posiadłości, ale

zli zdrajcy chcą go z nich wyrzucić, chcą ukoronować innego na króla: syna Ryszarda z miasta Rouen. Panie, cały kraj prędko będzie stracony, jeżeli nie przyjdiesz z pomocą.

Wilhelm wysłuchał tych słów i pochylił głowę. Poszedł do papieża, wziął go na stronę i spytał:

— Ojcie, jakąż mi dajesz radę?

— Niech będzie uwielbion Pan niebios! Nie odmawia się rady temu, kto o nią prosi. Za pokutę polecam ci, byś szedł na pomoc waszemu królowi Ludwikowi. Wielkiem byłoby nieszczęściem, gdyby go miano wydziedziczyć.

A hrabia odrzekł:

— Stanie się, jak polecacie: nie odrzucę waszej rady.

Potem Wilhelm ucałował swą żonę w jasne lice, a ona jego, nie przestając płakać. I oto ledwie się połączyli, muszą się znów rozłączyć—kto wie, czy nie na zawsze....

3. Wilhelm i przywłaszczyciel tronu Acelin.

Odjechał tedy z Rzymu Wilhelm Krótkonosy. Jechał, nie licząc dni, bez przerwy, bez spoczynku, ciągle w jedną stronę.

Raz pośród drogi spotkał się z pielgrzymem. Pielgrzym miał przewieszone przez ramię sakwy, w ręku kij jesionowy, wyglądał niezwykle dziarsko, choć białą miał brodę jak kwiatek wiosenny. Wilhelm go zagadnął:

— Skąd jesteś, bracie?

— Z Tours de Saint-Martin.

— Czy masz jakie nowiny? opowiedz, jeśli łaska.

— Mam, dobry panie, nowiny o młodym królu Ludwiku.

Umarł król z Saint Denis Karol, zostawił kraj Ludwikowi; ale zdrajcy panowie (bodajby ich Bóg przeklął!) chcą królem Francji zrobić syna starego Ryszarda z Rouen. Lecz pewien opat (niech go Bóg błogosławił) ukrył młodzieniaszka pod sklepieniami klasztoru Świętego Marcina. — Hej! Boże litościwy! (mówił ze szczerością pielgrzym) gdzie się to podziali godni rycerze i krewni dzielnego hrabiego Aimerego? Oni umieli dobrze służyć swemu panu. Na ten krzyż, na którym umęczono Zbawiciela! gdybym był takim, coby mógł mu pomóc, tobym się tak zemścił na łotrach, że jużby nigdy nie próbowali zdradzać swego pana.

Wilhelm wysłuchał słów pielgrzyma, uśmiech rozjaśnił mu lice, zawołał Bertranda i rzekł do niego:

— Widziałeś kiedy takiego dworskiego pielgrzyma? Gdyby to był człowiek, któryby mógł pomóc tamtemu, nie byłoby nigdy uknutej zdrady.

Dał dziesięć sztuk złota pielgrzymowi i pożegnał go wesoło, a potem udał się dalej w drogę. Szczęśliwy ten na świecie, kto ma wielu przyjaciół.

Jadąc rozglądał się Wilhelm po drodze i ujrzawszy nadjeżdżających stu czterdziestu rycerzy. Wiódł ich

margrabia Gaudin Ciemnopłowy i z nim waleczny Savari, mając na sobie jasne zbroje, siedząc na cennych koniach; a byli to siostrzeńcy dzielnego Wilhelma, co dążyli do Francji na pomoc królowi Ludwikowi. Było to dla nich wszystkich cudowne spotkanie. Ucałowali się serdecznie, bo byli sobie krewnymi i przyjaciółmi. Nie wiedział o nich szlachetnego rodu opat, co się zaopiekował młodzieńczym Ludwikiem; ale jeżeli zdoła jeszcze trochę dłużej potrzymać go pod swoją opieką zdala od nienawistnego plemienia zdrajców, to trzy dni nie miną, a pomoc nadejdzie...

Jechał dalej Wilhelm, szlachetny i śmiały wojak, a z nim tysiąc i dwieście rycerstwa. Kazał otrąbić w swem wojsku, żeby nikt nie przystawał i nie oszczędzał rumaka, bo nie można się spóźniać; niech każdy bodzie ostrogą, a jeśli nawet straci mierzyna, Wilhelm mu za to da konia bojowego.

— Zobaczę ja — mówił — jak to wystąpi zdrada; chcę zawczasu wiedzieć, kto pragnie być królem i władcą Francji. Ale na apostoła, co go wzywają pielgrzymi! komu włożę taką koronę na głowę, jeżeli jest taki pyszny i dumny, temu mózg pójdzie aż do nóg.

Więc na to odezwali się Rzymianie:

— Oto człowiek, co czuje godność w sercu. Przekleństwo Boga temu, ktoby nie chciał z nim trzymać!

Stamtąd, nie zatrzymując się wcale, pojechali do miasta Tours. Wilhelm roztropnie obmyślił rzecz całą i wydał rozporządzenia; rozesłał czaty na cztery strony; wybrał dwustu rycerzy dobrze uzbrojonych, którzy przywdziali podwójne kolczugi białe, na głowach mieli zielone helmy spięte, u boków miecze z błyszczącej stali; tuż za nimi giermkowie nieśli mocne tarcze i ostre włócznie, skuteczne w potrzebie.

Zbliżyli się zaraz do bram miasta i zawołali na strażnika:

— Otwieraj bramę! nie możemy tu czekać, przychodzimy na pomoc możnemu księżęciu: dziś ma być w kościele ukoronowany syn jego, bo tak chcą Francuzi.

Kiedy to strażnik grodowy usłyszał, ogarnęła go wściekłość; zaczął wzywać Boga, ojca sprawiedliwego, i mówił:

— Najświętsza Panno! to dopiero posiłki dla księcia Ludwika! Jeżeli Pan Bóg, sprawiedliwy sędzia wszystkich, nie weźmie go pod Swą opiekę, to nie

będzie się mógł pokazać na świat bez narażenia życia. Gdzież się podziali zacięci rycerze i ród Aimerego wojaka, co tak umieli dzielnie służyć swemu panu?

A do Wilhelma zawołał:

— Nie postanie tu twoja noga. Dość już mamy tutaj przebrzydłych zdrajców; nie pozwolę na to, byście pomnożyli ich liczbę. To cud prawdziwy, że was nosi ziemia. Dałby to Najwyższy Pan niebios, żeby się zapadła ziemia pod waszymi stopami i żeby Ludwik powrócił do swego dziedzictwa! Pomszczony byłby świat za niegodziwe plemię.

Słyszac to, Wilhelm uradował się wielce i rzekł do Bertranda:

— Słyszysz, siostrzanie? Czy źle mówi ten strażnik? Gdybyśmy mu opowiedzieli, co myślimy, toby nam zaraz mógł przyjść z pomocą.

— Kochany przyjacielu — odezwał się do strażnika — wcaleś niepotrzebnie zamknął przede mną bramę. Gdybyś wiedział, skąd jestem rodem i jakie jest moje pochodzenie, to po tem wszystkiem, coś tu przed chwilą mówił, otworzyłbyś mi chętnie, dobrowolnie.

Strażnik otworzył zakratowane okienko i rzekł:

— Chwała bądź Bogu! Szlachetny paniel jeżeli

wolno się spytać, powiedzcie, z którego jesteście kraju i jakiego rodu.

A na to Wilhelm:

— Powiem ci prawdę, bo nigdy w życiu nie ukrywam się ze swem nazwiskiem: jestem Wilhelm z Nar-bonny, co leży nad morzem.

Więc strażnik znowu:

— Chwała bądź Panu! Hrabio Wilhelmie, wiem dobrze, kogo szukacie, bo ród wasz nigdy nie splamił się podłością. Zdrajca Ryszard wszedł do naszego miasta z siedmiuset zbrojnymi; za mało macie ludzi szlachetny panie, żebyście mogli wyprzeć stąd jego siły.

Wilhelm odpowiedział:

— Będziemy mieli dosyć: zostało tam w zasadzce tysiąc rycerzy gotowych do bitwy i dobrze uzbrojonych. Tutaj mam ze sobą dwustu bardzo pięknie wystrojonych: na sukniach mają jasne kolczugi podwójne, na głowach zielone hełmy, nabijane drogimi kamieniami; za nimi dążą liczni giermkowie, którzy w potrzebie będą mogli nas wesprzeć.

— Chwała bądź Panu!— rzekł znowu strażnik.— Gdybyście mnie zapytali o radę, powiedziałbym, że

należałoby zaraz opuścić zasadzki i wszyscy rycerze powinni się tutaj zgromadzić w cichości. Tamte lotry zamknęły się tu w grodzie: pocóż ich szukać gdzieindziej, kiedy można znaleźć tutaj? Wiercie mi, panie: w ciągu jednego dnia możecie wszystko załatwić według swego życzenia. Ale kto się chce tego podjąć, musi być śmiały i butny, jak owo dzik w lesie.

Wilhelm wysłuchał tych słów, pochylił głowę i rzekł do Bertranda:

— Cóż ty na to, siostrzeńcze? Słyszałeś kiedy w życiu tak mówiącego strażnika?

Kiedy się strażnik dowiedział tego wszystkiego od dzielnego Wilhelma, wsławionego świetnymi czynami, zwrócił się twarzą ku pałacowi, wziął rękawicę w prawą rękę i zawołał donośnym głosem:

— Wyzywam cię, Ryszardzie, ciebie i twoją ziemię! Nie chcę ci już nigdy służyć. Skoro chcesz zdradzić swojego pana, słuszna, żebyś za to stracił swoich ludzi.

— Otworzył zaraz przed Wilhelmem bramę, ani chwili nie zwlekał; więc Wilhelm wszedł do grodu ze swoim pięknym hufcem. A strażnik zachęcał go życzliwie:

— Godny rycerzu, idź pomścić się na zdrajcach, co wbrew tobie czynią!

Wilhelm pochylił głowę ku ziemi i nagle krzyknął na giermka:

— Jedź do Gautiera z Tudeli i do Garina z tą nowiną, że bramy grodu są przede mną otwarte. Kto chce sobie zdobyć bogactwa, niechaj do mnie pośpiesza w największej cichości.

Giermek pojechał natychmiast, nie zatrzymywany przez nikogo; rycerstwo ukryte opuściło zasadzki i weszło swobodnie przez otwarte bramy. Widzieli ich zdrajcy z murów i okien, ale myśleli, że to ci, których sami wezwali i na których czekali. Dowiedzą się wkrótce smutnej i strasznej dla siebie nowiny!

Hrabia Wilhelm zwrócił się do strażnika:

— Poradź mi, przyjacielu! Mam dużo ludzi — muszę im dać przytułek i nakarmić; jakże to uczynić?

— Jak mi Bóg miły, panie, trudno tu poradzić, bo niema ani sali, piwnicy ani schowania, któreby nie były pełne oręży i koni, a rycerstwo sypia pod namiotami. Ale siłą można wszystko zrobić: kaźcie ich zbiorę zabrać i powyrzucać, a kto się nie będzie chciał

dobrowolnie z nią rozstać, to go przymusić i uciąć mu głowę.

— Na świętego Dyonizego! — powiedział na to Wilhelm — nieźle mi poradziłeś; trudno o lepszą radę. Nie będziesz już wartownikiem ani odźwiernym, tylko będziesz moim głównym doradcą.

Potem rzekł do Bertranda:

— I cóż, krewniaku? Słyszałeś, jak pięknie mówi strażnik? Dajmy mu uzbrojenie i niech będzie rycerzem!

A Bertrand odrzekł: — Bardzo dobrze, panie.

Obejrzał go od stóp do ramion: człowiek był piękny, postawny, dobrze zbudowany — ubrał go jak rycerza, dał mu mocną koleczugę i hełm stalowy, porządny miecz i ostrą włócznię, ze stajni tegoż mieczownika, także konia do parady, muła wierzchowca, a za służbę wyznaczył mu dobre wynagrodzenie,

A Wilhelm zawołał Gautiera Tuluzańczyka (tak go nazywano), swojego siostrzeńca, zacnego rycerza, i taki dał rozkaz:

— Pójdiesz do tej bramy, co wychodzi ku Poitiers, i weźmiesz ze sobą dwudziestu rycerzy. Żeby ani jedna żywa dusza tamtędy nie wyszła! ani zakon-

nik, ani ksiądz, choćby nie wiem jak prosił, jeżeli nie chce mieć obciętych członków.

— Dobrze—odpowiedział Gautier.

Potem hrabia Wilhelm Krótkonosy woła do siebie Sohiera z Plesseis i rzecze:

— Pójdiesz, zacy rycerzu, do tej bramy, co jest zwrócona ku Paryżowi, i weźmiesz ze swoich najwyżej dwudziestu. Czuwajcie, żeby nikt tamtędy nie wyszedł bez narażenia się na rozświetowanie i zabicie.

— Stanie się, jak każecie!—odpowiedział Sohier

Nie było rogatki, bramy ani galeryi podziemnej, gdzieby hrabia nie rozstawił swoich wojowników. Potem skierował się ku kościołowi, zsiadł z konia na placu, wszedł do świątyni, zrobił na czole znak krzyża. Ukłąkł hrabia Wilhelm na marmurze przed Ukrzyżowanym i błagał Boga umęczonego, żeby im wrócił prawowitego pana, Ludwika. W tej samej chwili zbliżył się doń zakonnik Gautier, poznał Wilhelma i dotknął palcem jego ramienia. Wilhelm poczuł dotknięcie, zwrócił się ku księdzu, spojrzał uważnie i spytał:

— Czego chcecie, bracie? Mówcie bez obludy!

Tamten mu odpowiedział:

— Zaraz wam powiem prawdę. Skoroście tu

przybyli na pomoc Ludwikowi, każcie zamknąć bramy kościoła świętego Marcina! Jest z osiemdziesięciu księży, kanoników, opatów i biskupów bardzo znakomych; przez chciwość uknuli oni zdradę; wydziedziczony będzie król Ludwik, jeżeli Pań Bóg i wy, hrabio, nie zechcecie mu pomódz. Po cinajcie im głowy, proszę was na Boga, a wszystek grzech za to biorę na siebie, bo to są wszyscy zdrajcy, nieczemnicy.

Wilhelm wysłuchał go uważnie i roześmiał się wesoło:

— Niech będzie błogosławiona godzina, w której się taki ksiądz urodził! Powiedzieć: gdzie znajduje swego prawowitego pana, Ludwika?

— Na Boga, panie!—odrzekł ksiądz—sprowadzę go tu zaraz, jak tylko będę mógł najprędzej.

Poszedł natychmiast podziemnem przejściem i zastawszy swego prawowitego władcę Ludwika, wziął go za rękę i rzekł do niego:

— Synu dobrego króla! miej teraz nadzieję, bo Bóg nam pomaga. Masz więcej przyjaciół, niż myślałeś dziś rano: oto przybył hrabia Wilhelm z tysiącem dwustu zacnymi rycerzami i wzywa cię do klasztoru;

a niema bramy ani przejścia, którego by nie obsadził swoimi ludźmi.

Usłyszawszy to, Ludwik uradował się wielce i udał się niezwłocznie do klasztoru. Tam dobry opat taką mu dał radę:

— Synu pocziwego króla, miej pewną nadzieję: oto Wilhelm ślubuje ci wierność. Skłoń mu się do nóg i podziękuj serdecznie!

Młodzieńczyk odrzekł:

— Chętnie, mój ojczel!

A zbliżywszy się do hrabiego, ukląkł przed nim i pocałował go mocno w nogę i w trzewik, w który był hrabia obuty.

Nie poznał go dzielny Wilhelm, bo mało było widno w klasztorze, tylko tak przemówił:

— Powstań, dziecię! Niema na świecie człowieka, któryby mnie tak rozgniewał, żebym mu nie przebaczył chętnie, gdyby się schylił do nóg moich.

A na to opat, odpowiadając za tamtego:

— Hrabio! toć to Ludwik, syn Karola dumno-okiego. Wkrótce będzie zabity i poćwiertowany, jeżeli Bóg i wy nie zechcecie mu pomóc.

Wilhelm rzucił się ku chłopcu i począł go całować, podniósł go z klęczek i powiedział:

— Jak mi Bóg miły! Przykróść mi wyrządził, kto cię namówił, byś mi padał do nóg. Przecież przed wszystkimi na świecie tobem najprzód powinien pomagać.

Potem Wilhelm zwołał swoich szlachetnych rycerzy i odezwał się do nich:

— Pragnę, żebyście wydali wyrok: Czy człowiek postrzyżony w klasztorze, którego obowiązkiem jest czytać psalterz, powinien dla pieniędzy dopuszczać się zdrady?

— Bynajmniej, hrabio — mówili rycerze.

— A jeśli tak uczyni, to jaka ma być za to kara?

— Winien być powieszony, jak ostatni złoczyńca.

— Na świętego Dyonizego! dobrze mi radzicie, jak trudno lepiej. Ale nie chcę poniżać reguły klasztornej. Niemniej jednak zapłacą drogo winowajcy.

Odbywszy sąd taki, odważny Wilhelm udał się śpiesznie do chóru kościelnego i zastał tam biskupów, opatów i duchowieństwo, którzy zdradzili swego króla. Powyrywał im z rąk wszystkim pastorały i zaniósł do

Ludwika, swego prawowitego władcy; uściskał młodzieniaszka i pocałował cztery razy w twarzyczkę. Potem znów powrócił do chóru, zastał tam jeszcze biskupów i opatów; żeby nie popełnić grzechu, nie chciał ich dotknąć bronią, ale wytłukł kijami, wywłókł z klasztoru i wypędził — wysłał do osiemdziesięciu dyabłów. Bo kto chce zdradzić swojego pana, słuszną, żeby za to poniósł ukaranie.

Nasz hrabia Wilhelm był to człowiek rycerski, rzekł więc do swego króla Ludwika:

— Posłuchaj mnie, miłościwy panie! Trzeba, żebyśmy posłali gońca do Acelina: niechaj mu zapowie, żeby przybył hołd złożyć swemu panu, Ludwikowi.

Ludwik zgodził się na to, więc Wilhelm wezwał barona Aleaume i tak doń powiedział:

— Jedź do dumnego Acelina, powiedz mu, żeby przybył złożyć hołd swemu panu; a niech się śpieszy, bo są na niego ciężkie skargi.

Aleaume spytał:

— Mamże jechać sam jeden?

— Tak, sam jeden, miły bracia, tylko z kijem w rękę.

— A jeśli zapyta, jakie mamy siły?

— Powiesz, że jest nas czterdziestu. A jeśli nie zechce usłuchać rozkazu, zapowiesz, że nim wieczór minie, taki go wstyd spotka przed towarzyszami, że nie wynagrodzi mu tego wszystko złota Awalonu *).

Więc Aleaume powiedział:

— Spełnimy, co każesz. I na apostoła, którego wzywają w Rzymie! przez to poselstwo nie odniesiem szkody.

Dosiadł tedy muła aragońskiego, spał go ostrogą i pojechał ulicą, a potem już się nie zatrzymał, aż przed mieszkaniem zdrajcy Acelina. Zastał go w gronie licznych towarzyszków i zawołał głośno, żeby go wszyscy słyszeli:

— Panie Acelinie, wielce szlachetny mężu! rozkazuje wam przeze mnie Wilhelm, mąż prawy, zwany Dumnorękim (bo ma lwie serce), żebyście co prędszy przybyli złożyć hołd królowi Ludwikowi, bo są na was ciężkie skargi.

Wtedy Acelin pochylił brodę i rzekł te słowa:

*) Wyspa Awalon była, według podań, miejscem pobytu słynnego w pieśniach króla Artusa. Jest o nim często mowa w poemacie o Parsywalu, który opracowałem w „Przyjacieli Dzieci” (r. 1907 i 1908). K. K.

— Słyszę, przyjacielu, co mówisz. Ale iluż twój wujaszek ma ludzi?

— Bóg świadkiem, że trzydziestu.

— Chwała Bogu! — rzekł na to Acelin. — Jedźże i powiedz dzielnemu Wilhelmowi, że mam ochotę spróbować tego, co czynią inni. Ofiarowano mi koronę, a przez owego chłopca Francya byłaby zgubiona. Ludwik nie wart będzie nigdy ani szeląga. Wiem, że Wilhelm jest człowiek roztropny i dzielny, ale nie ma jeszcze ziemi ani bogactw; otóż dam mu do wyboru, co jeno zechce: będzie miał całą prowincję dla siebie, dam mu dziesięć mułów obładowanych złotem, i wtedy będzie prawdziwym bogaczem.

— Próżno gadacie te słowa—odparł Aleaume — bo Wilhelm nie uznałby was za króla za wszystko złoto Awalonu. Kazał wam owszem powiedzieć (pocóżbyśmy mieli to ukrywać?) coś jeszcze gorszego, czegośmy jeszcze nie powiedzieli: że jeśli odmówicie hołdu Ludwikowi, to nim wieczór minie, taki was wstyd spotka, że nie chcielibyście tego za wszystkie bogactwa na świecie.

— Chwała Bogu! — rzekł na to Acelin: — skoro

w nim nie widzę chęci pokoju ani życzliwości, to go wyzywam i oświadczam to przez was.

— Słyszałem — odparł Aleaume — i ze swej strony odpowiadam, że was wyzywam w obliczu wszystkich waszych baronów.

Acelin był niesłychanie dumny i butny. Obejrzał Aleauma od stóp do głowy — podobala mu się cała jego postawa, poznał zaraz, że to giermek, i rzekł w te słowa:

— Mój przyjacielu, bardzo źle coś zrozumiał, jeżeli mnie obrażasz wobec mojego rycerstwa. Nie dałbym za twego wujaszka ani szeląg. Skoro mi nie ofiarowuje pokoju, ani przyjaźni, wzywam go aż do ucięcia głowy; każę mu poćwiertować całe ciało, bo mam takich siedmuset rycerzy i czterech znakomitych hrabiów. A ty, gdybyś nie był posłem, tobym ci kazał ściąć głowę i posiekać całego na cząstki.

Lecz Aleaume odezwał się na to:

— Niech będzie przeklęty, kto się was boi!

I wyszedł ze dworu, nie pożegnawszy się z nikim. Acelin zaś kazał zbroić się swym ludziom.

Roztropny Aleaume dosiadł rumaka i powrócił

pędem. Zaraz też spotkał hrabiego Wilhelma, który go zapytał:

— Cóż tam sprawił?

— Jak mi Bóg miły, panie, Acelin nie jest waszym przyjacielem i nie uznaje Ludwika za swego pana. Kiedy się dowiedział, ilu macie rycerzy, zaraz wam zagroził, że każę wam uciąć głowę; a gdybym nie był posłem, kazałby mnie poćwiertować całego, spalić w ogniu albo utopić w wodzie.

Usłyszawszy to, Wilhelm zawrzał strasznym gniewem. Teraz poszli jego ludzie przetrząsać mieszkania; znosili wszystkie zbroje na kupę, a kto nie chciał dać dobrowolnie, tyle zyskiwał, że mu ucinano głowę. Mieszczanie zaczęli uciekać, ale ich zatrzymywano, hrabia kazał ich wziąć w pęta; zdrajcy dopadli koni i uciekali co tchu ku bramom, ale w każdej bramie zastali okrutnego odźwiernego: trzeba było zapłacić haracz, bo odźwierni nie chcieli nikogo brać do niewoli. Hrabia Wilhelm dosiadł też konia i pojechał do dworu pocziwego mieszczanina Hungiera; zastał tam na ganku siedzącego Acelina, ale Acelin był taki dumny, że nie raczył przed nim powstać. Zobaczył go Wilhelm i zapalał gniewem. Zadał w zakrzywioną

trąbkę, dźwięki jej spłoszyły baronów, nadjechali Bertrand i Gautier, a z nimi mnóstwo zacnego rycerstwa. Rozpoczęła się zażarta bitwa, kruszyły się włócznie, pękały tarcze, łamały się pancerze i pękały ogniwa kolczug. Na niegodziwych zdrajców padł popłoch: widzą, że się nie można oprzeć baronom, więc obnażone szable rzucali do ich stóp i ze złożonymi rękami wołali o przebaczenie. Hrabia kazał ich zatrzymać i wiązać. Acelin także uciekał na koniu cwałem, hrabia Wilhelm puścił się za nim w pogoń i tak sobie z niego szydził:

— Panie miłościwy, wracajcie żywo, chodźcie koronować się w kościele! Włożymy wam na głowę taką koronę, że mózg wam przejdzie do samych nóg.

— Zdrajco i łotrze!—dodał jeszcze śmiały hrabia—żeby cię Bóg skarał! Dlaczegoś takiego wstydu narobił swemu panu? Twój ojciec Ryszard nie nosił nigdy korony.

Potem zwrócił się do Bertranda z długim mieczem i zapytał dumnie:

— Poradźno, siostrzeńcze: co zrobić z tym podłym łotrem?

A Bertrand odpowiedział:

— Co tu długo myśleć, wujaszku? Włożmy mu na głowę taką koronę, żeby mózg wyszedł przez usta.

Zbliżył się, podniósł długi miecz i byłby nim ugodził Acelina w obliczu stu ludzi; ale wuj Dumno-ręki krzyknął:

— Siostrzeńcze, nie waż się go dotknąć! Nie dozwoli Bóg, Stwórca świata, żeby go uderzył oręż rycerski: raczej mu daleko haniebniejszą śmierć zadam, taką, że mu to wyrzucać będą wszyscy potomkowie.

Hrabia Wilhelm był doskonałym rycerzem, ale względem pysznych postępował butnie, jak lampart, łaknący krwi ludzkiej. Nie raczył dotknąć Acelina bronią rycerską, lecz zobaczywszy w ogrodzeniu kół ostro zakończony, zbliżył się, wyrwał go z ziemi i tak mocno uderzył nim łotrą w głowę, że krew razem z mózgiem bryznęła aż do stóp jego, a potem nie czekając dobił go do reszty. Wtedy zawołał:

— Monjoie! Chwała bądź świętemu Dyonizemu! Pomściliśmy porządnie Ludwika!

Wówczas hrabia Wilhelm wrócił do klasztoru poszedł do swego prawowitego pana, Ludwika, wziął go w swe objęcia, ucałował i rzecze:

— Miłościwy panie, na kogo się jeszcze skarżysz? Na synu Ryszarda zemściłem się już dobrze za ciebie: nie wyjdzie już nigdy wojować, choćby nie wiem kto prosił.

— Dziękuję ci w imię Boże! — odrzekł młodzieniec. Gdybym się jeszcze zemścił na jego ojcu, byłbym rad i zadowolony.

— Boże — zawołał Wilhelm — niech mi go tylko kto pokaże!

Powiedziano mu, że jest w kościele, więc hrabia wpadł tam zaraz z osiemdziesięciu rycerzami. Zastał Ryszarda opartego o ołtarz, nie zważał na to, że byli w kościele: chwycił go ręką lewą za włosy i tak nim zakreślił, że go ledwo nie obalił, podniósł prawicę i zaczął go bić po karku. Ryszard ogłuszony wyciągnął się u stóp jego: możnaby mu było poobcinać członki — nie byłby ruszył ręką ani nogą. A Wilhelm zaczął jeszcze krzyczeć:

— Podły zdrajco, bądź przeklęty od Boga!

Potem zażądał nożyc, ostrzygł mu głowę i obdartego do naga położył na marmurze, mówiąc do rycerstwa:

— Tak się powinno karać zdrajców, którzy chcą oszukiwać i krzywdzić swego pana.

Ale hrabiowie i baronowie dotąd prosili, aż pogodzili Ryszarda z Wilhelmem i Ryszard przebaczył mu śmierć swego syna. Ucałowali się więc w obecności wielu rycerzy. Jednakże ta zgoda nie warta była szelaga, bo chcieli potem Wilhelma zabić nożami stalowymi w lesie: tylko że Pan Bóg nie chciał dopuścić do tej zbrodni.

Po owej zgodzie Wilhelm wezwał zaraz dobrego opata Gautiera i rzekł do niego:

— Pójdę do kraju Poitiers, bo ukrywa się tam wielu łotrów, i jeśli Bóg pozwoli, to ich wytropię. Ale nie chciałbym tu zostawić Ludwika samego: strzeżcie go pilnie! Gdyby się kiedy wybrał dla rozrywki, niech ma przy sobie przynajmniej stu rycerzy. Bo, na apostoła, którego wzywają pielgrzymi! gdybym się po powrocie dowiedział, że tu Ludwik poniósł jaką szkodę, to wszystkie wasze reguły zakonne nie potrafiłyby was obronić, żebyśmy wam nie kazał poobcinać członków.

Opat mu na to:

— Niepotrzebnie to mówicie: będzie tu lepiej strzeżony, niż święty patron naszego kościoła.

Hrabia Wilhelm był to prawy rycerz. Rozesłał po kraju listy i kazał się zbierać baronom. Nim upłynęły dwa tygodnie, zgromadził ich trzydzieści tysięcy, a potem poszli i przybyli do Poitiers.

Odtąd całe trzy lata spędził Wilhelm, wojując za swego pana.

Nie było dnia, żeby nie miał na sobie zapiętego helmu, przypasanej szabli, żeby nie siedział na koniu; nie było święta, w które należy się modlić, nawet Bożego Narodzenia, które należy uroczyście obchodzić, żeby nie był uzbrojony, nie wdziewał kolczugi.

Ciężkie trudy znosił dla swojego władcy. Bił się z jego nieprzyjaciółmi w Poitou, w Gaskonii i w Langwedocyi, a wszędzie z boju wychodził zwycięzcą. Dopiero po trzech latach rozpuścił swe rycerstwo, pozwolił każdemu jechać do rodziny; zostawił tylko niewielkie załogi w twierdzach i wziął ze sobą mały hufiec.

4. Zasadzki księcia Ryszarda.

Hrabia Wilhelm Krótkonosy, wojak, puścił się w drogę ku milej Francji, pozostawiwszy w Poitou w zamkach i twierdzach rycerzy i wzięwszy ze sobą dwustu dobrze uzbrojonych. Okrążył z boku całą Bretonię i zatrzymał się dopiero w Górze Świętego Michała. Tutaj dwa dni przebył, a trzeciego wyjechał i już bez zatrzymania dojechał do Rouen. Stanął gospodą w samym środku miasta. W jednej tylko rzeczy okazał się bardzo nieroztropnym: że śmiał tak jechać przez ziemię starego księcia Ryszarda, któremu wielkim palem zabił dawniej syna. Zaufał szlachetny rycerz temu, że był między nimi pokój; ale, jak się pokazało, zgoda nie była warta szeląga, bo Ryszard ze swymi chcieli go potem zabić.

— Zaprawdę — mówił Ryszard — powinienbym się wściekać ze złości, widząc, że po mojej ziemi jeździ ten, co mię pozbawił najlepszego dziedzica, jaki kiedykolwiek miał rządzić krajem. Ale na apostoła, do którego się modlić jeździmy do Rzymu! nim stąd wyjedzie, nałoży się porządnie.

— Na miłość Boską! — rzekli rycerze — nie ruszajcie go w tem mieście, bo mieszczeni gotowi mu tu pomagać. Lepiej zaczekać ze zdradą.

Na to rzekł Ryszard:

— Tembardziej go nienawidzę. Polecę księciu, żeby przez przyjaźń dla mnie pojechał z nim do Francyi; będzie nas szesnastu, a wszyscy dobrze uzbrojeni. Jeżeli nam się uda odłączyć go od jego ludzi — każdy z nas będzie miał dobry nóż stalowy — to go zaskoczemy i zabijemy.

Na te słowa piętnastu rycerzy ofiarowało się pomagać Ryszardowi. Lepiejby byli uczynili, gdyby tego zaniechali, bo potem spotkała ich za to hańba. Boże! gdyby był przynajmniej Wilhelm wiedział o tem!

Rankiem dosiadł on konia i puścił się w drogę aż do rozległej kniei. Zsiedli na równinie z koni, a poblizcy wieśniacy przynieśli im jedzenia. Po spo-

życiu obiadu większa ich część usnęła, bo byli zmęczeni; a na ten widok litował się dobry Wilhelm. Kazał sobie przynieść zbroję i oręż — podano mu zaraz; włożył koleczugę, przywiązał hełm pod szyją, przypasał szablę z wysadzaną rękojeścią; przyprowadzono mu rumaka Aliona, dosiadł go z lewej strony, zawiesił na szyi tarczę kratkowaną, wziął w rękę ostrą włócznię z proporcem, przybitym czterema gwoździami. Pojechało z nim tylko dwóch rycerzy.

Stanęli wypocząć na brzegu strumienia, a wtem ukazał się stary książę Ryszard, który szpiegował ich przez dzień cały, razem z piętnastu swymi rycerzami.

Zobaczył go Wilhelm i zatrwożył się wielce. Dosiadłszy konia, pojechał ku mostowi na strumieniu, a właśnie w to miejsce zmierzał i rudobrody książę.

— Cóż pocniemy, moi panowie? — rzekł Wilhelm do swoich dwóch towarzyszków. Zbliża się książę Ryszard rudobrody, a nienawidzi mnie on z bardzo słusznego powodu, bo wie dobrze, że mu zabiłem syna. Ale przecież jest między nami zgoda: zawarliśmy ze sobą pokój w klasztorze w Tours.

A panowie odrzekli.

— Czegóż go się boisz? Jedźmy aż do mostu;

pozdrow go grzecznie; a jeśli na twoje słowa odpowie nieprzyjaźnie, wtedy licz na swoją dobrą tarczę: i my cię nie opuścimy za wszystko złoto na świecie.

— Dzięki wam, panowie! — odpowiedział Wilhelm. Popędził konia i stanął pierwszy przy moście, a tam zagadnął księcia temi słowy:

— Bóg ci pomaga, książę! Mamże się strzedz ciebie? Zawarliśmy niegdyś między sobą zgodę; w klasztorze w Tours stanął między nami pokój, ucałowaliśmy się wzajemnie w obliczu rycerzy.

— Ślicznie umiesz prawić kazania — odparł Ryszard. Aleś mnie pozbawił syna, najlepszego dziedzica z tych, co byli przeznaczeni rządzić ziemią. Więc na apostoła, do którego chodzimy modlić się w Rzymie! nim stąd odjedziesz, krucho z tobą będzie: ani Bóg, ani człowiek nie potrafią temu zapobiedz, żebym ci nie kazał uciąć tej głowy i poddzielać wszystkich członków od twego kadłuba.

— Pasibrzuchu — rzekł Wilhelm — oby cię Pan Bóg przeklął! Tyle cię cenie, co psa wściekłego.

To powiedziawszy, spał swego Aliona ostrogą

złotą i ugodził w sam środek tarczy Ryszarda. Przebił ją na wylot, przebił i rozerwał koleczugię jasną, wsadził grot żelazny w lewy bok rycerza, tak że krew popłynęła obficie. Koń Ryszarda pozbył się ciężaru, bo jeździec spadł na ziemię, ostrogi z nogami poleciały w górę, a ostry koniec hełmu zarył się w piasek z taką siłą, że oba wiązadła pękły. Hrabia zatrzymał się nad leżącym i wyciągnął miecz z pochwy; byłby mu, jak Bóg żywy, odjął z karku głowę gdyby nie byli nadbiegli owi piętnastu ludzi Ryszardowych (niech będą przeklęci!) i nie wpadli na Wilhelma. Ktoby wówczas był widział szlachetnego hrabiego, jak się bronił przeciwko wszystkim naraz i jak stalowym brzeszczotem sypał gęste razy dokoła, wielką byłby uczuł nad nim litość. Pospieszili mu na pomoc jego współtowarzysze, każdy z nich zajął się swoim; i dzięki Ojcu Najświętszemu, sprawiedliwemu Panu, zabili i porabiali dziesięciu nieprzyjaciół, a tylko pięciu z nich uciekło ranionych. Hrabia Wilhelm śigał ich czas jakiś, obrzucając brzydkimi słowy. Uciekali pomiędzy wzgórz, a Wilhelm nacierał i tak wołał potężnym głosem:

— Panowie baronowie, na Boga w niebiesiech!

jakże ścierpicie tę sromotę? waszego władcę uprowadzimy w pętach. Boże, jakiby to był baron, gdyby był wolny!

Oni zaś odpowiadali:

— Na Boga, litości, Wilhelmie! Zaczny rycerzu, powinienbyś być królem albo władcą wielkiej, bogatej ziemi. Przebóg! możesz nas łatwo pobrać do niewoli: na naszych lękach wiszą nasze wnętrzości; nawet lżej ranni nie dbaliby już o wolność.

Kiedy to Wilhelm usłyszał, skreślił wodze w rękę; widząc, że proszą o łaskę, za wszystko złoto w świecie nie dotknąłby już żadnego — zawrócił więc natychmiast. Potem z towarzyszami wzięli i związali Ryszarda i jakby skrzynię przymocowawszy na grzbiecie, zabrali na rączym biegunie. Następnie co żywiej pośpieszyli do swoich w obozie. Kiedy tam przybyli, już ich towarzysze nie spali po wypoczynku.

— Wujaszku Wilhelmie — mówił Bertrand wojak — widzę, że stal waszej szabli jest krwią zbroczona, a wasza tarcza wcale nie jest cała. Cóżecie to poczynali?

— Nie bój się, siostrzeńcze! — odparł Wilhelm. Kiedyś stąd odjeżdżał na wycieczkę, widziałem, żeś bardzo

znużony i strudzony, i zostawiłem cię, żebyś się wyśpał i wypoczął. Wziąłem tylko dwóch rycerzy ze sobą; spotkałem się ze starym księciem Ryszardem, który mnie cały dzień śledził ze swymi piętnastu śmiakami; zaczął mi wyrzucać śmierć swojego syna i chciał mi poobeinać wszystkie członki; ale Bóg sprawiedliwy nas wspomógł: zabiliśmy z nich i porąbali dziesięciu, a reszta pięciu uciekli z ranami. Widzisz tu oręż i konie; a księcia Ryszarda przywieźliśmy w pętach.

— Bogu niech będą dzięki! — powiedział na to Bestrand.

5. Nowa wyprawa Wilhelma do Włoch. Koronacya Ludwika w Rzymie.

Stamtąd pojechał hrabia Wilhelm do Orleanu do króla Ludwika i oddał mu Ryszarda jako jeńca. Ludwik kazał go wrzucić do więzienia i wkrótce księżę zmarł tam z bólu i męki.

Myślał sobie Wilhelm, że będzie mógł teraz wypocząć, pobujać na łowach w kniei i nad rzeką; ale co innego czekało go w życiu.

Oto dwaj gońcy na spienionych koniach przybyli z Rzymu.

Zapytali o króla Ludwika i o hrabiego, a kiedy ich do nich zaprowadzono, upadli hrabiemu do nóg z taką błagalną prośbą:

— Przez Boga Najwyższego, zmiłuj się, zacny hrabio! Umarł Galafer, dzielny władca, któregoś kazał ochrzcić w kościele; papież także nie żyje; Gwido Niemiecki zgromadził swe zastępy, zajął główne twierdze rzymskie; cały kraj będzie na zawsze stracony, jeżeli, szlachetny panie, nie przyjdiesz mu na pomoc.

Wysłuchał tych słów Wilhelm, pochylił głowę ku ziemi, a król Ludwik począł rzewnie płakać. Widząc to, Wilhelm zatroskał się mocno i rzekł:

— Hej, biedny królu, bojaźliwy i zbalamucony! Myślałem, że cię będę wspierał, że będę pomagał przeciwko wszystkim w chrześcijaństwie; ale cały świat tak się sprzyścił przeciw tobie, że moja młodość upłynie w służeniu tobie, nim się spełnią wszystkie twoje żądania. Każ zwołać swoich ludzi i baronów, niech się zbiorą giermkowie, wszyscy, co mają konie kulejące, rozkute, a rynsztunek popsuty i poniszczony; wszyscy, co służą w drobnych posiadłościach, niech przyjdą do mnie! Dam im dosyć złota i srebra i wybitych pieniędzy, dam koni hiszpańskich i mocnych mulów, którem przyprowadził z Rzymu. Nazdobywałem tego i w Hiszpanii tyle, że nawet dziesiątej części nie mam gdzie pomieścić.

Nikt nie powie na mnie, że skąpy: rozdám to wszystkim i jeszcze więcej.

Król podziękował mu pięknie; popieczętowali listy i karty i kazali z nimi jechać gońcom; a nim upłynęły dwa tygodnie, tyle się ludzi nazjeżdżało — uzbrojonych rycerzy i pachołków — że można ich liczyć na pięćdziesiąt tysięcy. Każdemu dano konia, bo Wilhelm chciał jak najprędzej podążyć na odsiecz.

Nie zatrzymując się nigdzie dłużej, jechali śpiesznie do samego Rzymu; ale nie mogli dotrzeć do bram miasta, bo Niemiec zagrażał drogę. Król Ludwik kazał wywiesić swój proporzec, rozbić namioty dla wojska i porozkładać ogniska kuchenne, a hrabia Wilhelm rozesłał na wszystkie strony ludzi dla rabunku, żeby zaopatrzyli rycerstwo w żywność.

Wtedy Gwido Niemiecki wstał z łoża i tak powiedział do jednego barona rzymskiego:

— Posłuchaj mnie, szlachetny mężu! Weźcie tysiąc rycerzy i nim tamci rozbiją namioty, rzućcie się z okrzykiem w ich środek! Jeżeli będzie trzeba, przyjdę wam na pomoc.

Poszli się zaraz zbroić: wdziali na siebie kolczugi, podpięli hełmy, przypasali szable i dosiedli ru-

maków, na szyi zawiesili tarcze z polami, a do rąk wzięli ostre włócznie. Wyjechali za bramę. Puścił się gęsty deszczyk, zrobiło się prawie ciemno, więc Francuzi nie dostrzegli zawczasu zbliżających się hufców.

Rzymianie wpadli w środek obozu, rozpedzili konie, pozabijali giermków, poporywali z kuchni jedzenie i zabili głównego szafarza. Król Ludwik zaczął uciekać pieszo, biegając od namiotu do namiotu, szukał schronienia i wołał głośno:

— Bertrandzie! Wilhelmie! gdzie jesteście? Baronowie, śpieszcie mi na pomoc! Przez Boga żywego, jestem w wielkiej potrzebie.

Dzielny Wilhelm zbierał znów swoich ludzi, a siostrzan Bertrand wołał na niego:

— Wuju Wilhelmie, podążajcież żywo! Słyszcie wielkie krzyki w naszym obozie. Na miłość Boską, trzeba tam iść na pomoc.

Ale Wilhelm rzekł na to:

— Trzeba zajechać od strony Ryszarda. Gdybyśmy mogli ich odciąć, a nasi już się uzbroili, to moglibyśmy mieć nielada zdobycz.

Zajechali więc od strony Rzymu. Deszcz padał

coraz rześsistszy i Rzymianie nie dostrzegli ich jeszcze, kiedy już Wilhelm zaczął krzyczeć:

— Monjoie! bijcie ich, rycerze!

Było co widzieć, kiedy się starli! Trzaskały się włócznie, przebijano puklerze, pękały i rozlatywały się koleczugi, jeden po drugim padali zabici, ścieląc się pokotem. Ludzie z obozu zdążyli przywdziać zbroję, więc teraz i z przodu i z tyłu ścisnęli napastników. Nie darowali ani jednemu z Rzymian; albo ich zabijali i rąbali, albo brali do niewoli i pętali im ręce i nogi. Uciekł wódz, co ich przyprowadził; Wilhelm popędził za nim i wołał:

— Wracajże, panie rycerzu, bo zginiesz jak tchórz podły.

I ugodził go z boku włócznią, przygiął aż na szyję rumaka, potem wyciągnął szablę i miał mu już uciąć głowę, kiedy tamten począł prosić o litość i darowanie mu życia.

— Nie zabijaj mnie!—mówił— jeżeli jesteś Wilhelm. Weź mnie żywego, a możesz za to dużo zyskać, bo dam ci dużą miarę denarów.

Hrabia Wilhelm zbliżył się do niego, a jeniec oddał mu swój miecz stalowy, pięknie błyszczący. Wil-

helm odesłał jeńca do Ludwika, a potem powrócił do swoich.

Gwido zaś Niemiec mówił do swych rycerzy:

— Cicho! słuchajcie! Polegli moi ludzie, zabici, porabani. Jeśli nie mogę wygrać bitwy, walcząc całym hufcem przeciwko hufcowi, jeden przeciw jednemu, to już wszystkie nasze siły nie nam nie pomogą.

Zawołał gońca, kazał mu dosiąść konia arabskiego, zawiesił mu na szyi dużą skórę kunia, w ręce dał mu pałeczkę i tak mówił do niego:

— Pojedziesz mi prędko do tych namiotów jedwabnych; powiesz Ludwikowi, synowi Karola, że bardzo niesłusznie, z wielką moją krzywdą, chce mi zabrać mój kraj, bo nie ma prawa do Rzymu ani do całej posiadłości, — jeżeli zaś pragnie je posiąść gwałtem, to będzie musiał walczyć ze mną sam albo inny rycerz zamiast niego. Jeżeli będę zwyciężony w bitwie, to Rzym i cała ziemia staną się jego własnością i nikt mu już nie wyrządzi żadnej szkody; jeżeli zaś ja zwyciężę tym mieczem, co umie ciąć dobrze, to on nie dostanie ani szeląga, będzie musiał iść sobie do

Francyi, do Paryża albo do Chartres i zostawi mi Rzym, bo to moja własność.

Posłaniec, posłuszny rozkazowi, wyjechał przez szeroką bramę i nie zatrzymując się nigdzie, podążył do obozu francuskiego.

Powróciwszy do Guidona, zdał mu sprawę ze swego poselstwa; król Ludwik wysłuchał go, pochylił głowę, potem ją podniósł i zwołał swoich baronów:

— Panowie baronowie, posłuchajcie słów moich! Gwido Niemiec wyrządza mi wielką obrazę: chce, żebyśmy się obaj spotkali w polu; a przecież ja jestem jeszcze bardzo młody. Nie umiem bronić swej władzy: czy jest kto między Francuzami, co by chciał to za mnie uczynić?

Kiedy to baronowie usłyszeli, zwiesili głowy ku ziemi; Ludwik to widział i o mało go nie porwała wściekłość; potem zapłakał rzewnie, aż polały się strumienie łez na futro kunie.

Wtem przybył Wilhelm Dumnoreki, który właśnie przyprowadził swój hufiec do obozu. Wszedł cały uzbrojony pod namiot jedwabny, widzi, że król ciężko wzdycha i łzy leje; porwała go złość niezmierzona i zawołał wielkim głosem wobec baronów:

— Biedny mój królu! jakieżto nieszczęście Bóg na ciebie zesłał?

Czego płaczesz? Kto ci wyrządził krzywdę?

A Ludwik odrzekł bez wahanja:

— W imię Boże, mój dobry panie, powiem ci wszystko. Gwido Niemiec wyrządził mi wielką obelgę: chce, żebyśmy się dwaj bili ze sobą. Nikt z Francuzów nie chce tego uczynić za mnie, a ja jestem przecie bardzo młody, nie umiałbym podoleć takiej walce.

— Królu! — powiedział Wilhelm — dla twojej miłości jużem stoczył takich bitew więcej niż dwadzieścia. Czyż myślisz, że się i na tę nie poważę? Jak mi Bóg miły — stoczę bitwę. Wszyscy twoi Francuzi nie warci szelaga.

I zwrócił się do wysłańca z taką dumną mową:

— Mój przyjacielu! Powiedz Gwidonowi Niemcowi, że pewien rycerz w obronie swojego pana przyjdzie z nim bitwę i bardzo jej nawet pragnie. Żądam od niego zakładników i daję mu ze swej strony; a zwycięzca niech weźmie wszystko, czego zechce.

Wtedy podniósł się palatyn Bertrand i tak mówił:

— Wuju, doprawdy żal mamy do ciebie. Wszystko się tobie dostaje: bitwy i wyprawy; dzielność twoja

zaćmiewa zawsze naszą. Tę bitwę z Gwidonem ja sobie biore; pozwól mi, niech ja ją stoczę!

— Niemądrze mówisz — odparł hrabia. Kiedy Ludwik płakał, nie znalazł się nikt taki śmiały ani silny, żeby się odważył rzucić w obliczu jego swoją rękawicę. Myślicieź, żebym się cofnął? Na cześć moją przysięgam, nic z tego! Przyjacielu wysłańcze, powiedz Gwidonowi Niemcowi, żeby się uzbroił, a potem wystąpił na polu: hrabia Wilhelm stawi ma czoło w spotkaniu.

Tak opowiadał goniec, powróciwszy do Gwidona. A Gwido wysłuchał tego wszystkiego uważnie i rzekł:

— Przyjacielu pośle! Kiedy zwyciężę w polu Wilhelma, to jeżeli wtedy ten jego siostrzan Bertrand zechce, nie omieszkam stanąć z nim do walki. Przynieście mi moje najdroższe uzbrojenie!

Jak kazał, tak uczynili. Przynieśli mu natychmiast i odziali go w kolczugę algierską z ogniwek czerwonych jak ogień, potem przypięli mu hełm błyszczący z karbunkulem na nanośniku; zawiesił u lewego boku miecz szeroki; przyprowadzili mu bystrego bieguna: u lęku siodła drugi miecz się zwieszał. Gwido wskoczył na rumaka w jednej chwili, nie dotyka-

jąc strzemienia ani siodła; na szyi miał zawieszoną ciężką tarczę, ujął w ręce mocną włócznię ostrą, z przybitym do niej pięciu gwoździami proporcem. Bodąc konia ostrogą, wyjechał przez bramę i stanął wkrótce na błoniach Nerona, gdzie stoi Watykan.

Hrabia Wilhelm zobaczył go już z dala i zawołał do Guielina z Bertrandem:

— Widzę już na polu mego nieprzyjaciela; nie powinienem zwlekać ani chwili; przynieście mi moją najlepszą zbroję!

Uczyniono, jak rozkazał, przyniesiono mu zaraz wszystko; zaczął się Wilhelm ubierać, a był przy tem król Ludwik. Włożył kolczugę, podpiął hełm błyszczący i przywiesił u lewego boku miecz „Radosny“, który mu niegdyś darował Karol waleczny. Przyprowadzono mu konia Aliona — dosiadł go skokiem potężnym. Na szyi miał zawieszoną ciężką tarczę, w ręce trzymał dużą, ostrą włócznię z przybitym do drzewca pięciu gwoździami proporcem. Ruszył dobrym kłusem między namiotami i zatrzymał się dopiero u stóp wzgórza.

Wyjechał na wzgórze margrabia Wilhelm, a Gwido Niemiec tak się do niego odezwał:

— Coś ty za jeden, co chcesz udawać, że masz wielką odwagę w sercu, i ośmielasz się przeciwko mnie występować w pole?

— Zaraz ci powiem — odrzekł Wilhelm. — Rzym należy się słusznie królowi z Saint-Denis; a ja to właśnie sprawilem, kiedym tam, na owem wogórze, wygrał bitwę z Korsoltem Arabskim, najmocniejszym człowiekiem, jaki się kiedykolwiek urodził na świecie. Uciął mi kawałek nosa.

Kiedy to Gwido usłyszał, o mało nie stracił zmysłów: wołałby nie być na tem miejscu, choćby mu dawano Paryż. Zwrócił się jeszcze do Wilhelma z temi słowy:

— Więc ty jesteś margrabia Wilhelm, syn hrabiego Narbonne Aimerego? Zawrzyjmy pokój, bądźmy sobie przyjaciółmi! ty i ja będziemy wspólnie rządzili Rzymem!

A na to mu odparł Wilhelm:

— Niech cię Bóg skarże, łotrze! Nie przyszedłem tutaj rozprawiać. Nie zdradzę nigdy swego prawowitego pana, choćbym miał żywot za niego poświęcić.

Usłyszawszy to, Gwido zapalił się wielkim gniewem i przysięgał na apostoła, którego cześć w Rzymie:

— Podłem postąpił, że ci to mówiłem. Wyzywam cię teraz w imię Króla niebios.

— I ja cię wyzywam — odpowiedział Wilhelm.

Odjechali tedy od siebie, jak strzałą z łuku sięgnąć, potem się odwrócili i stanęli do siebie twarzą. Trzymają na piersiach mocne tarcze i gotują się dobrze do zadawania ciężkich ciosów; bodą rumaki błyszczącymi ostrogami, opuszczają włócznie i uderzają na siebie. Spadają mocne razy na wypukłe tarcze, lecą z nich drzazgi wokół. Białych kolezugi nie mogli nawet pogiąć: opierały się tak silnie, że włócznie aż pękły i poleciały w powietrze odłamki. Wtedy uderzyli znów na siebie i starli się pierś w pierś, tarcza w tarczę. Zetknęły się kolezugi, zetknęły się rumaki, zazgrzytały o siebie helmy na głowach obu rycerzy, strumienie potu i krwi zaczęły lać się na ziemię — aż wreszcie wszyscy czworo runęli. Dobre rumaki rozciągnęły się na ziemi, ale rycerze podnieśli się prędko na nogi. Wyciągnęli miecze, ustawili tarcze i zaczęli znów waleczyć.

Hrabia Wilhelm powstał z ziemi i modlił się głośno do Boga, Ojca sprawiedliwości.

— Najświętsza Maryo, Dziewico Przczysta — dodał — wzywam Twej pomocy! Jeszcze mnie nigdy przedtem nie wysadził nikt ze strzemion.

A Gwido Niemiec mówił dumnie:

— Jak Bóg na niebie, Wilhelmie, nic ci już nie pomoże! Rzym jest mój: i jego mury i ziemie; nie będzie ich nigdy posiadał Ludwik.

Ale Wilhelm mu na to:

— Łotrze przeklęty! Nim zajdzie słońce i zapadnie wieczór, myślę, iż tak ci ustroję twe ciało, że można będzie kupić cię za szeląg.

Podniósł miecz w górę ze stalowym brzeszczotem, natarł ostro na Gwidona i tak go ugodził w hełm prądkowany, że kwiaty i kamienie poleciały z niego na ziemię — jakby nie było czepca z podwójnej koleczugi. Nie potrzeba już było drugiego ciosu: miecz oparł się dopiero na biodrze i odciął taki kawał ciała, że pokazała się kość naga aż do pasa.

— Upuściłem ci krwi — wołał Wilhelm. Wiesz teraz, jak moja stal rąbie.

Ale Gwido Niemiec odparł dumnie:

— Hrabio Wilhelmie, niech cię Pan Bóg przeklnie! Czy myślisz, że mnie ta drobnostka przeraża? Nie trzeba się zbyt troszczyć o to nędzne ciało. Ale na krzyż, do którego modlą się pielgrzymi! nim słońce zajdzie i zapadnie wieczór, zemścę się na tobie za swoje ciało.

I uderzył gwałtownie na Wilhelma i tak go ugodził w hełm prądkowany, że posypały się z niego ozdoby i kamienie na ziemię, nie pomógł czepiec z podwójnej koleczugi. O mało nie zginął syn Aimerego. Ale Bóg nie chciał na to pozwolić: niewiele sprawił Gwido tym ciosem, pękł mu miecz jego przy samej rękojeści. Wyciągnął drugi, co go miał w zapasie, ale Wilhelm uśmiechnął się tylko na to i swoim „Radosnym“ z najprzedniejszej stali ugodził Gwidona z wielką siłą.

Zadał mu cios straszny w hełm prądkowany: miecz przeszedł poniżej łopatki, zagłębił się i przeciął mu łono — rycerz nieżywy padł na ziemię. Tyber był blisko, Wilhelm stracił trupa do wody, a ciężar żelaza pociągnął zwłoki na dno. Nikt go już stamtąd nie wyciągnął nigdy.

Waleczny Wilhelm wydał okrzyk radości:

— Monjoie! — wołał — Boże! święty Dyonizy! zwycięstwo! Zemściłem się na tym łotrze za króla Ludwika!

Dosiadł swojego rumaka Aliona, wziął też konia Gwidona i co żywiej pośpieszył do obozu Francuzów.

Wyszedł na jego spotkanie siostrzan, wyszedł król Ludwik, jaśniejący radością i tryumfem. A tyle się przedtem napłakali Guielin i Gautier! Nigdy jeszcze w życiu nie mieli tyle strachu o Wilhelma, chyba w dniu bitwy z Korsoltem.

— Wuju Wilhelmie, czyś zdrów i cały? — pytał Bertrand.

— Zdrów, dzięki Bogu. Moją siostrzeńce kochany, masz oto tego pięknego bieguna: to za tę bitwę, coś ja chciał wczoraj stoczyć z Gwidonem,

— Dzięki ci stokrotnie! — odpowiedział Bertrand.

Po stracie Gwidona mieszkańcy Rzymu otworzyli bramy i poddali się prawowitemu panu. Ludwik odbył wjazd do miasta, a Wilhelm w imieniu wszystkich baronów ukoronował go uroczyście. Baronowie złożyli Ludwikowi przysięgę wierności; przysięgli ci nawet, co go później zdradzili. Następnie Ludwik przygotował się do powrotu i wyruszył w drogę.

6. Nowe zaburzenia we Francji.

Jechali długo, aż wreszcie przybyli do Francji. Król Ludwik podążył do miasta Paryża, a hrabia Wilhelm udał się do Montreuil nad morzem. Myślał sobie wypocząć, zapolować w kniei i nad rzeką; ale nie pozwoliły mu na to losy. Francuzi zaczęli robić powstania, napadać na siebie i prowadzić wojny. Palili miasta, pustoszyli ziemię, nie chcieli słuchać króla Ludwika.

Przyjechał z temi wieściami goniec do hrabiego Wilhelma. Bohater wysłuchał go, zasmucił się straszliwie i zawołał Bertranda:

— Posłuchaj mnie, siostrzeńce! Na miłość Boga, jaką mi dajesz radę? Mojego władcę pozbawiono całego dziedzictwa.

— Dajcie mu już pokój! — odpowiedział Bertrand. Dajcie sobie pokój z całą Francją! rzućcie ją do dya-

bla razem z tym niemądrym królem! Niedługo nie będzie już miał ani piędzi ziemi.

Ała Wilhelm rzekł na to:

— Nie powinienes tak mówić. Ja w jego służbie strawię już swą młodość.

Zebrał swoich ludzi i przyjaciół i wyruszył pośpiesznie w drogę. Przyjechał do miasta Paryża i zastał tam króla Ludwika.

Odtąd zaczął prowadzić wielkie wojny; a kiedy się przekonał, że w tej ziemi nie będzie można się utrzymać, bo za dużo tam było śmiertelnych wrogów, zabrał młodego króla i zaprowadził go do miasta Laon. Oddał go pod opiekę mieszczan, a sam poszedł zdobywać okopy, burzyć wysokie mury. Więcej niż rok tak wojował zwycięsko; piętnastu hrabiów sprowadził na dwór i kazał im przyjąć lenna od króla Ludwika, który powinien panować nad całą Francją. A potem wydał za króla swoją siostrę.

Ludwik odzyskał swą dawną potęgę, ale nie umiał być wdzięcznym względem hrabiego Wilhelma.

KONIEC.



9919